MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 54. WARSZAWA, 24 GRUDNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

LUDZIE POTRZEBNI

I

KAŻDE warunki bytu społecznego i politycznego mają swój typ człowieka, który w tych warunkach robi materjalną karjerę lub znajduje pole do zaspokojenia swych ambicyj. Ten typ wysuwa się na czoło życia, zdobywa znaczenie w społeczeństwie, odgrywa rolę przewodnią.

Gdy dane warunki trwają czas jakiś, choćby parę pokoleń, typ ten się utrwala, krystalizuje, umacnia się w swych rysach, tem samem zatraca plastyczność natury ludzkiej, z trudnością poddaje się przeróbce.

Ten utrwalony typ, cieszący się w danych warunkach powodzeniem, panujący nad społeczeństwem, staje się główną ofiarą przewrotów w życiu. Jemu najtrudniej się przystosować do wytwarzających się nowych warunków: staje się on niepotrzebnym lub szkodliwym, a spadając z wyżyn na doły życia najboleśniej odczuwa zachodzące zmiany.

Doba rozkwitu industrjalizmu europejskiego i światowego handlu oraz związanej z nim światowej organizacji masońskiej i demokratycznego ustroju państw miała swój, bardzo wyraźny typ człowieka, który zajął stanowisko czołowe w życiu.

Ten typ w ciągu kilku pokoleń się wykańczał, pozbywał się w swej psychice niepotrzebnego mu spadku po pokoleniach dawniejszych, aż wreszcie zdobył klasyczną harmonję linij. Studjując go pilnie, nie mogłem znaleźć dla niego ściślejszego określenia, jak: komiwojażer.

Cóż to jest komiwojażer?

Jest to człowiek, którego zadaniem, celem, interesem, ambicją jest jaknajlichszy towar sprzedać jaknajlepiej.

Cóż robili w ostatniej dobie i co robią jeszcze w dzisiejszej chwili ludzie stojący na czele życia naszej cywilizacji?...

Przemysłowcy starali się produkować jaknajefektowniejszą tandetę. Kupcy narzucali ją spożywcom za jaknajwyższą cenę. Bankierzy brali możliwie najwyższe procenty za udzielanie kredytów na możliwie najgorszych warunkach. Wytwórcy strawy duchowej dawali strasznie ubogą treść, podlewając ją natomiast sosem sensacji i reklamy, zdobywającej spożywców. Politycy wreszcie wydoskonalili się w ukrywaniu swej nicości moranej, ignorancji i braku wszelkiej twórczości, w maskowaniu się pustemi frazesami i pustemi obietnicami, naogół szablonowemi, w sposobach hypnotyzowania i wytwarzania nastrojów, w finezyjnych wreszcie intrygach i konspiracjach.

Wszyscy usiłują jaknajlichszy towar sprzedać jaknajlepiej.

Typ komiwojażera doszedł do największej doskonałości w momencie, w którym się załamały podstawy jego panowania.

W wyniku przewrotu, ogarniającego wszystkie dziedziny życia naszego świata, przedewszystkiem rozwiewa się złudzenie, że to jest typ najrealniejszy, najlepiej rozumiejący dzisiejszą rzeczywistość. On tylko nie rozumie, a nawet nie zna przeszłości, jego nie obchodzi przyszłość: myśl jego jest opanowana przez teraźniejszość—sama wszakże w najmniejszej mierze nad nią nie panuje.

II

Pierwszem wielkiem załamaniem się ustroju naszego świata była wojna 1914 r.

Za głównego jej sprawcę uznano Wilhelma II. Wprawdzie przy istniejącym ustroju świata i polityce mocarstw, jaka z niego wynikała, wojna ta prędzej czy później była nieunikniona. Jednakże, gdy chodzi o bezpośredniego jej sprawcę w danej chwili, cesarz niemiecki ma bodaj główne prawo do tytułu autora. Zdobył je wszakże nie dzięki temu, żeby był przeniesionym w wiek dwudziesty wojownikiem i zaborcą dawnych czasów, ale że pośród monarchów najdalej zaszedł w przerabianiu się na typ komiwojażera. Imponowała mu teraźniejszość i panowała nad nim, on sam wszakże nie rozumiał jej należycie i nad nią nie panował. Sposoby postępowania miał w znacznej mierze komiwojażerskie...

Wojna ta, przewidywana przez ludzi, stojących na boku od polityki międzynarodowej, zaskoczyła sterników mocarstw. Byli zanadto komiwojażerami, zapatrzonymi we współczesną rzeczywistość, taką, jak ją rozumieli. Pozostali zdezorjentowanymi prawie przez cały czas wojny. Jedynem mocarstwem, które miało plan wyraźny, były Niemcy; ale ten plan był nierealny. Można go było urzeczywistnić tylko przy takiej głupocie i podłości przeciwników, do jakiej w Europie jeszcze nie doszło i, miejmy nadzieję, nigdy nie dojdzie. Byli wszędzie ludzie, którzyby im do wykonania tego planu pomogli, ale znalazło się zawielu takich, którzy chcieli i musieli go unicestwić. Poza Niemcami nikt nie miał nietylko planu, ale nawet wyraźnego celu pozytywnego. Nie wiedziano nietylko, czem się ta wojna skończy, ale czem powinna się skończyć. Dlatego tak łatwo narzucono jej zakończenie, z wielu względów niedorzeczne.

III

Gdy po wojnie zarysował się kryzys gospodarczy i finansowy, pogłębiający się szybko i okazujący się ogólnym, obejmującym wszystkie dziedziny życia kryzysem naszej cywilizacji — typ komiwojażera, któremu się zdawało, że panuje nad całem życiem, całkowicie się zgubił. Wszystko zaczęło iść wbrew jego planom i zamiarom. Co gorsza, nie mógł zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Co zaś jeszcze gorsza, zaczął dostarczać w coraz większej liczbie ludzi niepotrzebnych, ludzi, którzy muszą zginąć. Chociaż jeszcze sobie tego nie uświadomił, on właśnie stanie się główną ofiarą dzisiejszej tragedji.

W chaosie katastrofy, w której załamała się linja rozwojowa życia, powikłały się stosunki sił w niem działających, zatracił porządek logiczny postępowania, utrwalony w kończącej się dobie, a nie wytworzył się jeszcze porządek nowy, typ komiwojażera, coraz wyraźniej zanarchizowany, ma jeszcze wiele dla siebie miejsca. W dobie przejściowej jeszcze główną siłą są wczorajsze pojęcia i wczorajsze nałogi, które ten typ trzymają przy życiu.

Wzbierający od paru pokoleń zalew naogół gładkiego powierzchownie chamstwa duchowego, będącego jednym z głównych rysów komiwojażerskiego typu, jeszcze pokrywa istotne siły twórcze duszy ludzkiej, które jedynie zdolne są wydobyć narody z chaosu.

Typ komiwojażerski nie święci już takich triumfów, jak doniedawna, ale jeszcze góruje, jeszcze może mieć złudzenie, że przyszłość do niego należy. Pole dla niego wszakże szybko się zwęża i porusza się on na niem z coraz mniejszą swobodą. Towar, rzucany przezeń na rynek, nie przestaje być lichym, jest nawet coraz lichszym, ale cena jego szybko spada, i zyski są coraz mniejsze.

Spożywca tego towaru, czy to materjalnego, czy duchowego, i z musu, i z wewnętrznej potrzeby, zaczyna się stawać krytyczniejszym, wymaga coraz więcej rzetelnej wartości, a nie bezwartościowej tandety.

Niejasno jeszcze zaczynają się zarysowywać warunki, w których płytki spryt, blaga, reklama, wszelka tandeta materjalna i duchowa ponosić będzie coraz więcej porażek, ustępować przed rzetelną, kompetentną i wytężoną pracą. Gdy ta zwycięży, cywilizacja nasza będzie ocalona.

IV

Żadna dziś z dziedzin działalności ludzkiej nie rozrosła się tak, jak polityka. Dwie są główne tego przyczyny.

Gdy wszystko się załamuje, gdy na wszystkich polach święci się upadek, wszystko chroni się pod skrzydła opiekuńcze polityki. To, co nie może żyć własnemi siłami, stara się czerpać pokarm z zasobów państwa, przedłużać swą egzystencję przy pomocy rządu. Bankierzy, przemysłowcy, kupcy, rolnicy z jednej strony, z drugiej — uczeni, o ile ich tak nazwać można, literaci, artyści, nauczyciele, wreszcie niezliczone zastępy urzędników stają się coraz więcej politykami. Nie mając wiele do ofiarowania, do sprzedania w dziedzinie swojej specjalności, sprzedają swe przekonania i tę energję polityczną, którą jeszcze posiadają. Polityka nie wytwarza nowych wartości, tylko rozporządza istniejącemi, a zato je zużywa. Ten więc rozrost polityki przyśpiesza przebieg katastrofy i przybliża moment ostatecznego załamania.

Z drugiej strony, widoczne załamywanie się dotychczasowych podstaw życia wskazuje pilną potrzebę wytworzenia podstaw nowych. Trzeba twórczości, któraby te podstawy dała, i energji

politycznej, którąby je w życie wprowadziła. Poczucie tej potrzeby zwraca ludzi do polityki, szereguje ich do politycznej walki. Tworzą się całe armje polityczne, które umieją odnosić zwycięstwa nad rządzącymi przeciwnikami. Zwyciężają tam, gdzie mają za sobą liczbę i energję polityczną, zdolność organizacji, wreszcie poczucie rzeczywistości, umiejętność oceny położenia i użycia środków, najodpowiedniejszych w istniejących warunkach.

W tych wszakże, nawet zwyciężających armjach politycznych jeszcze z natury rzeczy panuje typ człowieka kończącej się doby, pod niejednym względem typ komiwojażerski. Dlatego te ruchy tak mało jeszcze orjentują się w najgłówniejszych zadaniach, które przed niemi leżą, tak słabo rozumieją zmienione i zmieniające się szybko warunki życia, tak mało wykazują istotnej twórczości. To, co w nich jest nowego, poza metodami walki, jest dotychczas bardzo ubogie.

Stąd zwycięstwa ich nie można jeszcze uważać za ostateczne: usunęli od rządów żywioły, które musiały być usunięte, ale jeszcze nie wiadomo, czy sami będą zdolni trwale rządzić i czy rychło nie przyjdą inni, bardziej uzdolnieni i przygotowani, którzy ich zastąpią.

V

Polityka, która dziś nad całem życiem zapanowała — jeżeli nie ma zniszczyć ostatecznie naszej cywilizacji, jeżeli ma wydobyć świat z obecnego chaosu — pierwsza ze wszystkich dziedzin działalności ludzkiej musi się odciąć wyraźnie od starego, ginącego świata. Pierwsza musi ze swoich szeregów wypędzić bohatera ubiegłej doby — człowieka typu komiwojażerskiego: wytępić blagę, tandetę, wszelkie, narzucające się do politycznego steru nieuctwo i płytkość, wszelkie handlowanie imitacją i lichotą, wszelkie przewodnictwo, mające taką wartość, jak oprowadzanie publiczności po muzeach i galerjach przez wygadanych *ciceron*'ów.

Życie dziś woła o ludzi rzetelnych, mających szeroki widnokrąg polityczny, o ludzi, którzy umieją się gruntownie uczyć, zdolni są wgryźć się głęboko w zagadnienia dzisiejszej przełomowej doby, ludzi, którzy w swym rozumie i w swem sumieniu znajdą siłę do otrząśnięcia się ze starych pojęć i starych nałogów i do zakładania nowych podwalin życia.

To są ludzie przedewszystkiem potrzebni w dzisiejszej dobie — potrzebni nietylko u steru ogólnego, ale i w kierownictwie spraw poszczególnych.

Ludzie tacy w żadnym kraju naprawdę jeszcze się nie pokazali. Ostatnie dziesięciolecia kończącego się okresu dokonały takiego spustoszenia duchowego na całej linji, że ludzie większej miary moralnej przestali się rodzić. Z chwilą, kiedy się zaczną ukazywać, można będzie powiedzieć, że cywilizacja nasza jest ocalona.

Cała nadzieja w młodszych pokoleniach.

Powszechne wśród nich jest poczucie wielkich przemian, zachodzących dziś w życiu, zawalania się dotychczasowych podstaw i potrzeby nowych. Wielka wśród nich jest gotowość do pracy nad przebudową życia i do walki o nowe jego podstawy.

Te pokolenia muszą wydać nowych ludzi, którzy nowemi pójdą drogami. Ale wydadzą ich tylko wtedy, gdy zrozumieją, że pierwszem zadaniem przygotowującego się dziś do życia człowieka jest wielka, nie cofająca się przed żadnemi wysiłkami, bohaterska praca nad sobą.

W chwili głębokiego przełomu, wymagającej tak wielkiej twórczości w życiu, człowiek będący imitacją ludzi ubiegłej doby, może być tylko „zjadaczem chleba“.

ROMAN DMOWSKI

SOLIDARNOŚĆ IDEAŁÓW

RAK, od dwu stuleci toczący ludzkość, wykazuje szczególnie elastyczną zdolność przystosowania się do różnorodnych warunków i przemian, jakie wynikają z biologicznych procesów organizmu, na którym żeruje. Historja jego uczy, że urodzony w miazmatach praktyk szarlatańskich, w konspiracji, dającej pole fantazji ludzkiej, stęsknionej za czemś lepszem, do podstawiania własnych wyobrażeń w miejsce jasnej prawdy i określonych faktów, — potrafił kolejno wiązać się tak samo z hasłami rewolucyj społecznych, jak, np. w Polsce czasu rozbiorów, z reakcją narodową. — Ponieważ jednak rozkład organicznych tkanek społecznych przez zobojętnianie jednostek na cele dalsze poza zaspokojeniem potrzeb i instynktów jednostkowych jest właściwą drogą do tworzenia tkanek rakowatych, przeto wszelkie pierwiastki duchowe, idealistyczne, spajające gromady ludzkie bez względu na chwilowe konjunktury i interesy, były dla niego do strawienia o wiele trudniejsze.

Właściwym tworem i celem masonerji, żerowiskiem, na którem prosperowała bez przeszkód, i do którego usiłowała doprowadzić wszystko inne, było powszechne, nie cztero — ale czterdziestoprzymiotnikowe zmaterjalizowanie i zmechanizowanie, a najwygodniejszemi hasłami, na których radaby się utrzymać aż do śmierci, były doktryny materjalnej i naturalnej równości, od „praw człowieka i obywatela“ zacząwszy, a skończywszy u progu komunizmu. — Te dawały jej w ręce nietylko szerokie masy analfabetów chcących rządzić, głodnych chcących jeść, a leniów nie chcących pracować, — ale także tych, bądź pozujących na wielkie serca, bądź prawdziwych a naiwnych ideologów, najczęściej odebranych chrześcijaństwu, którzy, nie potrzebując i nie pragnąc niczego dla siebie, swoje i swych rodzonych braci dobra gotowi

byli oddawać cierpiącej ludzkości, — Organizatorowie tej do równa zniwelowanej, zdezorganizowanej i zdezindywidualizowanej ludzkości zbierali śmietankę dla siebie.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że te opanowane przez raka organizmy żyły, i że sztuka i przemyślność tego osobliwego pasorzyta miały do zwalczania i opanowania żywe, i nieobliczalne nieraz, bo tajemne dla niego, siły biologiczne. Co gorsze jednak: gdyby siły te obumarły, nimby je potrafił zmechanizować, przystosowując do swoich potrzeb, sprowadziłby, w miejsce potrzebnej dla siebie wegetacji, śmierć organizmów i niebezpieczną dla siebie utratę żerowiska. Za daleko posunięte doświadczenia z zastrzyku paraliżującej toksyny nieraz kosztowały go drogo, i mniej ryzykownemi okazywały się narkotyki podniecające do walk wzajemnych pod znakami sprzecznych haseł, gdzie znowu była okazja do podziału ról i narzucania stronom przeciwnym swoich wodzów.

Tylko że... tylko że niezawsze szło wszystko wedle ułożonego zgóry planu. Tylko że genezą „ogni, które dziś rodzą sie w tłumach“ niezawsze bywa czerwony kogut, ale także i wulkaniczny żywioł. Na to zaś urządzacze świata mieli tylko jedną radę: poustawiać sejsmografy i nieuniknione dla siebie wypadki uprzedzać, a zaciemniając horyzont, podawać się za ich ojca i matkę. Przy kolebkach wielkich prądów ideowych, tych nawet, które rodziły się przeciw niej, te bowiem tylko były wielkie, znalazła się zawsze masonerja.

Słabą jednak stroną sejsmografów jest to, że działają dopiero wtedy, kiedy ziemia się trzęsie. Słabą stroną masonerji jest to, że nie mając poczucia ideałów, ale conajwyżej ich pojęcie, stojąc do nich w stosunku — powiedzmy: nie kordjalnym. ale spekulatywnym — co odpowiada też charakterowi dominującej w niej rasy, niema też żadnych przeczuć co do ich genezy i poznaje je po tem dopiero, że są. Wtedy jednak, nadrabiając stracony czas, a nie widząc na nie rady, przystosowuje się do okoliczności tak szybko, jak żydówki w Polsce, pierwsze lansujące mody paryskie, zanim ktokolwiek inny zdąży sobie zdać sprawę nawet z tego, co się w nim samym dokonało.

Dzień dzisiejszy przynosi rzeczy zgoła niespodziane, na które wprawdzie masonerja była przygotowana, ale nie była przygotowana tak prędko. Liczono się z możliwością reakcji idealistycznej (powinniśmy ją nazwać „kordjalną“, w przeciwieństwie do tej intelektualno - spekulatywnej, która się także podszywa pod nomenklaturę ideałów). Ale tymczasem zagospodarowywano się na długie lata na lotnych piaskach pacyfizmu i rozwygodzenia znękanej, ogłupiałej wojną ludzkości, pragnącej — jak sobie wyobrażano — tylko spokoju jednostek, odpoczynku i dobrobytu, do którego zyskania wszelkie środki będą ludziom dobre, a wśród nich zaprzedawanie się nawet „czarnemu capowi“. Gdzie tylko idealistyczne szyldy, osłaniające cele materjalne ciemnych potęg, w ich ręku tępiały i traciły wiarę, — wyzierało zawsze prawdziwe azjatyckie oblicze z poza dymu kadzideł: wchodzono cynicznie na drogę kupowania ludzi i płacenia im interesem za swój interes. — Z własnymi wyspekulowanymi komunałami rozstawano się bez żalu wszędzie tam, gdzie natrafiono na ludzi dostatecznie „dojrzałych“ w ogniu powojennej gangreny do przyjęcia daleko prostszych argumentów: zapłaty pieniędzmi, korzyścią osobistą, czy zadowoleniem niskich instynktów. Tak jest i dzisiaj... I oto naraz wskazówka sejsmografu, na który już patrzeć zapomniano, zaczyna tańczyć w najlepsze!

Ale mimo fatalnych „gaff“ i wymykania im się terenu z pod nóg, masonerja ma ludzi bystrych. Umieją oni wstawać przed świtem i ustawiać paści na drogach, któremi iść będą ludzie ze śpiewem, zapatrzeni w jutrznię.

Uderzyła na alarm *„La France Catholique“*, widząc jak „czarny cap“ przymierza nowy kostjum, jak zawiesiwszy na kołku nieefektowny strój demokratycznego liberalizmu, po którym poznają go już jak łysego konia, wdziewa kolorową koszulę faszysty i hitlerowca. Pismo katolickie ostrzega, że państwo „autorytywne i totalne” jeśli dostanie się w ręce ludzi ambitnych i bez skrupułów, idących na pasku wolnomularzy, może stać się katastrofą dla katolików francuskich *(avis aux lecteurs!)*. Tak zupełnie słusznie uderza na alarm obóz katolicki, — ale nie słyszy równocześnie podejrzanych szmerów u jego własnego częstokołu.

Jasnym głowom jest dziś już jasnem, że przewrót świata dokonuje się w tej chwili nie na gruncie ekonomiczym, ale idealistycznym i że budowanie zarówno państw, jak wszelkich innych konstrukcyj społecznych na uzgadnianiu interesów materjalnych wcale nie jest drogą do podporządkowywania ludzkości idei chrzećcijańskiej. Jeżeli ktoś — innemi słowy — wyobraża sobie, że należy pozyskiwać ludzi dla Kościoła Katolickiego przez podawanie rozwiązań, któreby, zaspokajając dezyderaty materjalne: wygodę, spokój i jadło, sprzęgały z niemi wdzięczność dla ideałów, które rzekomo do nich prowadzą, ten błądzi w zupełnej ciemności. Kościół nietylko nie potrzebuje uciekać się do metod masońskich, ale ten ktoś, ktoby, podając się za jego rycerza, pod temi hasłami stawał w szranki, chcąc dystansować masonerję, traciłby siły daremnie, bo mógłby na tym torze niezadługo ani współzawodnika, ani widzów nie znaleźć.

Namnożyło się dziś podejrzanie dużo gorliwych naprawdę i gorliwych niby katolików, którzy zupełnie mylnie interpretując troskę wysokich sfer kościelnych o chleb powszedni ludzi, troskę będącą *pium officium* miłości bliźniego, — wyobrażają sobie, że można prowadzić ludzi do ideału przez pokazywanie im interesu ekonomicznego. Jest to metoda nietylko z zasady niemoralna, ale w obliczu dzisiejszej ewolucji staje się strategją chybioną. Ludzie chcą walczyć, tylko cel walki przesuwa się w oczach: chcą walczyć o ideały same i nie trzeba ich na to kupować także jadłem i wygodą, bo są zupełnie gotowi do znoszenia dla nich niedostatku. Jeżeli walka o ideał nie pójdzie solidarnie, mobilizując wszystkie siły serca, to się rozstrzeli i osłabi, a przez koncesje dla obozu pieczeni obniży własny sztandar, uzależni się od konjunktur, zyska zwolenników wątpliwych i wejdzie w niesłychanie niebezpieczną grę, w którą każdy ruch wciąga masonerja.

Można, a nawet trzeba walczyć równocześnie o życie i o ideał, ale nie można walczyć ani o życie dla ideału ani o ideał dla życia.

Naturalną solidarność ideałów, które się oto budzą równocześnie, z jednych i tych samych predyspozycyj psychicznych wychodząc, masonerja rozbić usiłuje w ten sposób, że próbuje, narazie ze słabym skutkiem, łączyć się z jednej strony z ruchami nacjonalistycznemi, dążącemi do silnych

państw narodowych, i o ile możności wyzyskać je przeciw Kościołowi i religji wogóle (w Polsce nie mogąc ugryźć obozu narodowego, sprzymierza się z innym, mogąc na nim bodaj chwilowo więcej zarobić), a z drugiej strony podsuwa ruchowi katolickiemu zbankrutowane ideje Paneuropy, Europejskich Stanów Zjednoczonych, ekonomicznemi interesami powiązanych, z koncesją dla regjonalnych odrębności kulturalnych, reprezentowanych przez delegacje narodowościowe poszczególnych „krajów". O tem się narazie nie tyle pisze, ile się mówi. Pomysły takie nurtują wśród polskich pseudo-gorliwców katolickich, bez szczególnego zainteresowania, Bogu dzięki, ze strony polskiego duchowieństwa, wśród gorliwców, którzy oddawna już wykazywali podejrzaną a zaciekłą nienawiść do polskiej idei narodowej, a zato pełną pobłażania i sympatji postawę dla nieszczęśliwej, przez narodowców prześladowanej rasy paserów, handlarzy żywym towarem, szpiegów i komunistów.

W roku 1927 wypisywał w „Czasie" p. Fr. Potocki barokowe fioritury o nacjonalizmie, który „doszedł do absurdu", o duchu czasu, który polega na „internacjonalnej interdependencji" zmieniającej „infrastrukturę" społeczeństw, że przeto sprawy mniejszości narodowych (żydów) Polska w tym duchu musi rozwiązywać. Ciekawe kiedyś obserwacje będzie robił historyk, któremu się zechce brnąć bagnistemi tropami niektórych współpracowników takich pism, jak „Nasze Drogi" lub „*Pro Christo*", którzy się tam przed kilku jeszcze laty wywnętrzali. Dla orjentacji wskazówka: że powoływali się oni także na zdemaskowaną *Società d'Amici d'Israele*, przyczajoną pod bokiem Watykanu do czasu, aż ukazała się encyklika papieska, zabraniająca katolikom należenia do tej humanitarnej instytucji.

My, katolicy i Polacy, nie damy sobie wydrzeć ani ideału katolickiego dla rzekomego interesu narodowego, ani ideału narodowego dla rzekomego interesu katolickiego i nie damy sobie nikomu głowy zawracać, że przez rozbijanie naszych serc na dwoje którąkolwiek z tych idej umocnimy.

Kto umie patrzeć i słuchać, jak trawa rośnie, kto wie nietylko to, co się da ująć w słowa i wydrukować, ten wie, ku własnemu może zdumieniu, o czem świadczą zajścia w Grodzisku i Częstochowie, w których brały udział tysiące ludzi. Nędza nędzą, i ona oczywiście oliwy do ognia dolewa, ale jeśli już w rzeszowskiem główną przyczyną nieszczęścia było zakłócenie procesji i obrażona godność ludzka, to w Częstochowie „wiara i naród" były hasłem jedynem, w imię którego tysiące gotowe były do wszelkich ofiar. To jest przewrót wewnętrzny, o którym wiedzieć powinien socjolog i zdać sobie sprawę, że przyszłość mają oblicza wyraźne i bezkompromisowe, serdeczne przymierza ideałów.

Jeśli się jednak temu, co i tak idzie samo: szerzeniu wiary—chce pomagać przez omijanie i lekceważenie najbardziej naturalnego i organicznego porządku, wywodzącego się z ogniska rodzinnego, z wychowania w tradycji i kulturze na jednej ziemi i w jednej wierze, z jednej krwi ideału narodowego — to się popada w beznadziejne nieporozumienie. Coraz więcej rodzi się takich, którzy wolą zdychać z głodu, ale chcą być sami we własnym domu, aniżeli łykać ciepłą strawę w restauracji. W tym dopiero domu i dla niego zadbają o inne potrzeby. Dlatego tylko narodowe państwa mają przyszłość, nie zaś narodowościowe. Można podzielać, lub nie, poglądy faszyzmu czy hitleryzmu, jako zastosowane do danych warunków, ale trzeba stwierdzić, że obydwa te nacjonalistyczne programy podniosły, jeden bardziej a drugi mniej szczerze, hasła religijne, z tej prostej przyczyny a choćby wyrachowania, bo wiedzą, iż w duszach mas muszą się one na jednem podłożu kojarzyć. Kto walczy o religję katolicką, także o tem wiedzieć powinien. Ze sztandarów polskich niewolno wymazywać hasła „Bóg i Ojczyzna".

Miłości bliźniego nie można oprzeć na zrozumieniu wzajemnego interesu i wygody. Otwieranie tych perspektyw czy dobywanie ich z podświadomości, jest nietylko zbyteczne, ale szkodliwe, pomijając już samo to, że każda idea degeneruje, przechodząc w położenie statyczne. Zamiast tego należy uczyć miłości bliźniego od miłości braci i sióstr, żon, mężów, rodziców, dzieci, domu własnego i narodu, które są godne starań i miłości przed wszystkiemi innemi. Bez tej naturalnej nauki wszelkie miłowanie ludzkości stanie się pustą doktryną i nigdy nie zakiełkuje w sercach ludzkich, a wszelkie międzynarodówki katolicko-ekonomiczne doczekaćby się tylko mogły losu marxizmu i innych międzynarodówek, opartych na przesłankach materjalistycznych. O ileż trudniej byłoby wtedy odbudowywać w sercach wiarę chrześcijańską i ze śmiecia obierać jej czysty ideał.

Całe szczęście, że takie głupie pomysły nie są wogóle groźne. Niemniej robią mąt i osłabiają uwagę czuwających.

PIOTR PONISZ

„PAN TADEUSZ" NAGANIONY

ARCY-POEMAT Mickiewicza długo musiał czekać na należyte zrozumienie w Polsce i uznanie. Właściwie pełny szacunek wymierzono mu dopiero mniej więcej po półwieczu, w dziewięćdziesiątych latach ubiegłego stulecia. Wśród współczesnych na emigracji niewielu tylko, jedynie co najwyżsi, zorjentowali się w rodzaju i kalibrze tej poezji; większość krytyków, nie wyrastając ponad przeciętny smak epoki, nie szczędziła zrzędzeń i zgryźliwych przekąsów. Zawiódł też krąg rzeszy czytelniczej. Kiedy III cz. „Dziadów", odbita w 2000 egz., rozeszła się odrazu i po roku trzeba było robić nowe wydanie, „Pan Tadeusz" w 3000 egz. zalegał skład księgarza, po koniec życia poety nie doszło do drugiego osobnego wydania, a nakładca, — jeżeli wierzyć informacji Słowackiego, — na „Panu Tadeuszu" stracił, miał honor stracić.

Z głosów krytyki emigracyjnej — zapewne najwyższe: Słowackiego, Krasińskiego, Norwida, jak się rzekło, określiły odrazu należycie charakter i wartość poematu, naogół jednak krytycy (Ropelewski, Witwicki, E. Chojecki i in.) pośpieszyli z szeregiem zastrzeżeń. Rzecz charakterystyczna: głosy uznania, nawet zachwytu, jeżeli były, dochodziły raczej z lewej strony, z obozu demokratów (np. bardzo znamienna opinja St. Worcella), podczas gdy z prawa, z okopów „Trzeciego Maja"

ostrzelano poemat ciężkim kalibrem inwektyw i grymasów (W. Jabłonowski, St. Koźmian, później „Przeglad Poznański").

Nie lepiej było naogół z przyjęciem poematu w kraju. Co prawda, straże celne na kordonach dbały dobrze, by zapobiec przyjęciu jakiemukolwiek, by poematu o ojczyźnie wogóle na ziemię polską nie wpuścić. Udało się to jednakże tylko częściowo. Przez Kraków („wolne miasto"), przez Galicję, Poznańskie, „mimo carskich gróźb, na złość strażnikom ceł", przenikały jednak tomiki „Pana Tadeusza" nawet na daleką Litwę i na Ukrainę, poemat osadzał się w pamięci pokolenia, niekiedy nawet w sposób wzruszający.

Z wielu przekazanych wypadków dwa warto przypomnieć. Jeden znamy z pamiętników P. Popieła. Za młodych lat, bawiąc w Krakowie (1855 r.) otrzymał on od bankiera Bochenka egzemplarz „Pana Tadeusza" i przywiózł go pod wieczór do rodzinnej Rusączy. Przy wieczerzy zaczął go czytać żonie. W rezultacie wieczerza zapomniana wystygła, a oni długo w noc czytali płacząc. Inny wypadek znamy z Litwy, zapisany w fejletonach K. Morawskiej „I zbliska i zdaleka". Jeden z ziemian wielkopolskich, co bawił jakiś czas w którymś z dworów na Litwie, po powrocie opowiadał z podziwieniem, jak gościnny gospodarz, odprowadzając go co wieczór na nocleg, recytował mu z pamięci całe księgi „Pana Tadeusza". Już nie było obawy, że mu żandarm skonfiskuje tekst ulubionego poematu[1]).

Ale i w kraju, jak się rzekło, u ludzi pióra, u znawców wykształconych na smaku romantycznym, „Pan Tadeusz" nie znalazł łaski. Zachowały się kostyczne sądy o nim takich pisarzy, jak Fredro, Pol (nawet ten!), Magnuszewski, Ujejski, Zmorski i in. Zastrzeżenia te i dąsy krytyczne naogół jednak rzadko się pojawiały w druku, boć, jak wiadomo, poemat był na politycznym indeksie, niebezpiecznie było przyznać się głośno, że się go czytało. Zresztą na olbrzymim obszarze Polski w zaborze rosyjskim za Mikołaja, nie wolno było wogóle wymienić nazwiska Mickiewicza w druku. To też z ubocznych napomknięć jedynie i z peryfraz możemy tu i owdzie wyłuskać jakiś sąd o tym poemacie. Z jednej takiej ubocznej wzmianki możemy n. p. wnosić, że H. Rzewuskiemu owszem „Pan Tadeusz" się podobał, że broniąc jego charakteru epickiego, wcale trafną uwagą tłumaczył w nim brak naczelnego bohatera jednostkowego. Podobnież z peryfraz dopiero wydobywać musimy sąd M. Grabowskiego o poemacie. Tym razem sąd ujemny. Okoliczności atoli, wśród których do niego doszło, są tak interesujące, że warto je przypomnieć szczegółowiej.

Około r. 1840 zainteresował się był Grabowski jako krytyk bliżej nieco działalnością poetycką jednego z pomniejszych poetów „szkoły ukraińskiej", Aleksandra Grozy. Miał w tem pewien, na dłuższą metę obliczony, zamysł literacki. Doszedłszy mianowicie do pewnych przeświadczeń o drogach, któremi — jego zdaniem — iść winna poezja w Polsce, a świadomy, że jemu samemu brak talentu poetyckiego, liczył, że w Grozie właśnie znajdzie realizatora swych idej. Groza zresztą od tej roli poety podkomendnego niezbyt się uchylał, owszem dość posłusznie naginał się do woli arystarcha. W wykonywaniu jednak nie zawsze mu się to udawało.

Kiedy więc Groza w r. 1837 wydał osnutą na podaniach ludowych powieść poetycką o Mikołaju Potockim p. t. „Pan Starosta Kaniowski", Grabowski w tomie „Literatury i krytyki" (1840, I) pośpieszył z jej szczegółowym rozbiorem i oceną. Naogół Grabowski miał niejedno utworowi do zarzucenia, niemniej ocenił całość dość wysoko, a autora jeszcze wyżej: postawił go jako czwartego w rzędzie poetów ukraińskich: Malczewskiego, Zaleskiego. Goszczyńskiego. Spora część owych zarzutów sprowadzała się do tego, że autor nie wyzyskał tematu w sposób należyty, że nie rozwinął wielu motywów, które się napraszały pod pióro. „Wielka zaiste szkoda" — pisał, — „że p. Groza nie rozwinął lepiej treści, nastręczającej mu zewsząd rozległe i zajmujące obrazy, a nawet węzeł dobrej intrygi". Krytyk usłużnie podpowiadał poecie, coby warto jeszcze do zrębu utworu dobudować. „Gdyby naprzykład", -- mentorował Grabowski, — „autor nie zaczynał był koniecznie swojej rzeczy od środka, ale wystawił raczej, jak Starosta wśród przygód swego hulaszczego życia postrzega przypadkiem Hannę"... etc. etc.

Posłuszny poeta przychylił się do woli krytyka i wziął utwór ponownie na warsztat. Rozszerzył go rzeczywiście w trójnasób, podorabiał osobne części, wzbogacił i skomplikował fabułę, wprowadził w nią pierwiastek fantastyczny, ubrał w obrazy przyrody, powstawiał opisy scen obyczajowych i t. p.

Otrzymawszy nową redakcję utworu, mógł w niej natrafić na takie ustępy: Opisano np. chutor wśród stepu:

„Wśród stepu, jak las jaki, różne zboża rosły:
Złoty jęczmień, pszenica, srebrne kłosy żyta,
Hreczka z dziewic rumieńcem, płowa prosa kita.
A z tych zbóż dziwny zamek wznosił się do góry:
Za dach go ptactwo swemi przysłoniło pióry,
I dach był jak kobierzec w różne wzory tkany,
Słomiane szczerem złotem świeciły się ściany..."

Przewróciwszy parę kartek, mógł znów natrafić na opis starej znachorki Mokryny, karmiącej koło domostwa ptaki:

„Klasnęła,—chmurą zaszumieli
Czarni ptaszkowie: jako jesienny liść z lasu
Usłali skałę. Ileż wdzięcznego hałasu,
Radosnych głosów! Każdy na Mokrynie siadał
I jakgdyby coś do niej po swemu zagadał,
Zaszczebiotał, i znowu był sobie na stronie.
A ona wodę z dzbanka chlupiąc w swoje dłonie,
Kropiła wszystkich..."

Czytał i nie mógł się oczywiście pomylić, co tu zaszło. Stało się mianowicie, że w głąb Ukrainy, do dworu poety w Sołohobówce dotarł jakąś drogą egzemplarz Mickiewiczowej „historji szlacheckiej"; autor „Pana Starosty Kaniowskiego" upodobał sobie ten poemat i nie oparł się pokusie naśladowania. Niesposób, by przy czytaniu powyższych ustępów nie przemknęły nam przed oczyma duszy: widok pól soplicowskich, domostwa Maćka, lub sylwetka jego samego wśród królików. Poza powyższemi zaczerpnął zresztą Groza z „Pana Tadeusza" niejeden jeszcze szczegół, zwłaszcza z zakresu dawnej obyczajowości; pokazał np. kwestarza-rubachę, woźnego zjadającego pozew, przejąwszy się zaś stylem, pokusił się o podobny nieco opis karczmy i wieczerzy szabasowej.

[1]) W tejże książce znajdujemy zanotowany inny wzruszający przykład kultu jednego z dzieł poezji romantycznej. Opowiada autorka, co słyszała o Br. Zaleskim, jak siedząc w więzieniu w Wilnie (po 1856), uczył mieszkańca celi sąsiedniej „Palmów" Krasińskiego na pamięć. Wypukiwał mu alfabetem więziennym zwrotki, ten zapisywał je na piasku podłogi, a nauczywszy się, zamazywał.

Tak sobie poczynając, liczył zapewne Groza, że spotka się tylko z uznaniem krytyka. Zawiódł się jednak srodze. Grabowski bowiem zganił ostro nietylko nową redakcję, nowe wstawki, ale — co dziwniejsza — także upodobany przez poetę wzór, co do którego krytyk oczywiście odrazu się zorjentował. Jakoż pomiędzy wymówki i przygany, czynione Grozie, wplótł on wcale szeroko swe zastrzeżenia przeciwko „Panu Tadeuszowi“. Warto posłuchać tych wyroków, ferowanych na poemat przed laty przeszło 90.

Pierwsze zastrzeżenie tyczy się stosunku do Homera. Grabowski przypisuje Mickiewiczowi zamysł naśladownictwa „Iljady“ i przygania mu to ostro. Poeta - epik nowszych czasów nie może bowiem bezkarnie opierać się o tamten wzór, wzrosły w innych czasach i na innym gruncie cywilizacyjnym. A właśnie tego rodzaju pokuszeń było mnóstwo, typowym ich przykładem Tasso, który najcudowniejszy i prawdziwie epiczny przedmiot oziębił i ociężył, „pożyczając dzielnym krzyżowcom ruchów klasycznych“.

„Inny znakomity poeta sąsiedztwo litewskie i zdarzenia niniejsze usiłował podnieść do majestatu starożytnego, a pomimo wielkich piękności częściowych natworzył fałszów i nierówności. Forma bowiem starożytnej epopei jest razem dla niniejszego przedmiotu za ogromna i za ciasna: dla wymiaru szczegółów za ogromna, dla ich liczby za ciasna. Dla pierwszego trzeba szczegóły nadymać, na szczudła stawiać; dla drugiego setne wyrażać, dziewięćdziesiąt dziewięć przemilczeć. Jakże tu wszelkie podobieństwo nie zniknie?“ Tak np. z wynalazkiem prochu zmienił się zasadniczo charakter bitwy; zamiast homeryckich zapasów w pojedynkę— występuje ruch wielkich mas. Oczywiście jest i w tem poezja, tylko innego już pokroju. „Poeta niech nam p o k a ż e taki obraz swojemi środkami; na co wprowadzać pojedynek sierżantów, jakby zapaśników Homera? Im z poważniejszemi ruchami epicznemi do tego się bierze, tem mi przypomina bardziej, że płaci daninę szkolnym pamiątkom“ [2]).

Nie trudno dostrzec, że ten zarzut Grabowskiego trafia w próżnię, opiera się na mylnem przypuszczeniu. Krytyk nie dostrzegł intencji, która kierowała poetą nowoczesnym, gdy się posługiwał pewnemi frazami homeryckiemi, nie zauważył, że Mickiewicz czynił to świadomie, celowo, dla uzyskania bardzo subtelnego efektu artystycznego i że efekt ten istotnie w zupełności osiągnął. Umyślne reminiscencje homeryckie, szczególnie zagęszczone w opisie bitwy, pozwoliły mu wprzęgnąć bez dysonansu w ogólną harmonję nastroju i ten moment innorodny: — groźną, ponurą w istocie swej walkę i śmierć masową owionąć przecież atmosferą pogody. Osiągnął to zaś właśnie dzięki niezrównanemu humorowi, płynącemu z ujęcia niedużej bijatyki zajazdowej w patetyczne, homeryckie obrazy. W tem właśnie cała rzecz, że księga IX mimo wszystko nie jest naśladownictwem, ale jest świadomem przetworzeniem motywu homeryckiego, w innej tonacji i w odmiennym zasadniczo zespole artystycznym całości.

Zarzut drugi, uczyniony „Panu Tadeuszowi“ przez Grabowskiego, jest jeszcze bardziej zasadniczej natury; tyczy wogóle doboru tworzywa, przedmiotu poetyckiego widzenia, właściwego poematowi opisowemu. Przedmiotem takim, — zdaniem Grabowskiego, — nie może być rzeczywistość bylejaka, powszednia; poeta nie może się wyrzec prawa dodoru, prawa przeistaczania. „Z tego, co nie jest odrazu i z natury swojej poezją, niepodobna zrobić poezji przez żaden mechaniczny proces sztuki. Poezja winna być koniecznie w zapłodzie rzeczy i w natchnieniu poety, powodującem do wylania się nazewnątrz, żeby rzecz stworzona była także poezją“. Niemcy wymyślili t r a g e d j ę m i e s z c z a ń s k ą; „jeszcze to mniej poziomy wymysł, jak wymyślać poemata mieszczańskie, poemata z bytu prozaicznego“. Z materjału tego może czerpać co najwyżej proza, romans, ale i ten, „żeby miał wyższe znaczenie, musi mieć narzuconą na siebie barwę fantazji“. Nigdy zaś poezja.

„Teższame szczegóły, traktowane trybem poematu, okażą tylko niezręczne usiłowanie, by zrobić z nich co innego, niż są i być muszą. Opisywać np. w poemacie dwie karczmy żydowskie, stojące naprzeciw siebie, w całej obrzydliwości ich jerozolimskiego budownictwa, jest to to samo, co zbiegiem spółgłosek naśladować stukot karamboli. Zapewne nie poetyckie usposobienie duszy namówiło do jednego i drugiego“. „To powinno przekonać o niepodobieństwie robienia tych poematów z e w s z e l k i e j bez braku p o w s z e d n i o ś c i, jak u nas weszło w modę. Nie każdy bowiem szczegół, a zwłaszcza nie każdy w każdym czasie może przemówić do wyobraźni i przez ią zostać przetworzony; bez tego zaś piętna duszy ludzkiej (co dawniej nazywano zidealizowaniem) niema poezji. Zwyczajnie też najgłośniejsze dzisiejsze poemata są mieszaniną poezji i prozy, co im piękną, artystyczną wartość odbiera... Wiadomy Panu poemat pierwszego naszego wieszcza, pomimo całego genjuszu autora, jest niewątpliwie szkołą z ł e j m a n i e r y“.[3])

Otóż i wyrok „Pan Tadeusz“ obwołany został w Polsce przez najwyższą ówczesną powagę krytyczną poematem złej manjery, a to mianowicie dzięki temu, co właśnie stanowi fundament jego właściwego uroku, za to, że powszednią charakterystyczną rzeczywistość, zwyczajność krajobrazu i bieg życia potocznego, pochwyconego w zanikającej już przeszłości, podniósł był do potęgi piękna. Grabowski zganił poemat za jego realizm, tak niemiły romantyzmowi późniejszemu, za „poziomość“ natchnienia, co go stworzyło. Są to, dodajmy, teższame paragrafy, z których parokrotnie już skazywano „Pana Tadeusza“ w krytyce emigracyjnej.

STANISŁAW PIGOŃ

[2]) Grabowski M. „Korespondencja literacka“ II, 170 n.

[3]) Tamże, I 75 i n. Szczegół godny uwagi, że Grabowski dopiero „Mindowe“ Kraszewskiego uzna za arcydzieło epickie, które „będzie stanowić epokę w sztuce, i to nietylko w Polsce“. Nie zawadzi też przypomnieć, że „Konrad Wallenrod“ r ó w n i e ż u z n a n i e m n i e c i e s z y ł s i ę t e g o k r y t y k a: „dzieło żadną miarą nie powinno służyć za wzór dla poetów“. „Usunąwszy na stronę“—pisał Grabowski dalej—bardzo jawne różnice i niepotrzebującą dowodu wyższość Mickiewicza nad Szymanowskim, [można powiedzieć], że w swoim rodzaju „Wallenrod“ jest tak wychuchany, sztuczny i płód prawdziwie koteryjnej poezji, jak i „Świątynia w Knidos“. „Tyg. Petersb.“ Nr. 96 z r. 1839, str. 538).

W uroczystym dniu wigilijnym BOŻEGO NARODZENIA wydawnictwo „Myśli Narodowej“ składa czytelnikom z głębi serca życzenia Wesołych Świąt i pomyślności.

WESOŁE RZECZY

DLA WSZYSTKICH DZIECI

PAN JEZUS U NAS

Pan Jezus rodzi się u nas po Wilji. W żłobku pod choinką leży malutki i promienieje. Matka Boska pochyla się nad nim, żeby go wziąć na ręce. Pastuszkowie klęczą przed żłobem i my także. Trzej Królowie zaraz przyjadą. Jest prawdziwe Boże Narodzenie.

TRZEJ KRÓLOWIE

Jechali Trzej Królowie
na wielbłądach,
pytali o Jezusa
— jak wygląda?

Spotkała ich Basia
po obiedzie,
zabrała się z nimi
i jedzie.

Mówi do nich: „Znam tu dobrze
wszystkie drogi.
Zaprowadzę was, gdzie leży Jezus
w szopie ubogiej.

A ta szopka tam, gdzie gwiazda
świeci łuną:
na stoliku, pod choinką,
u nas".

KRÓLIK W ALEI

Aleja wiśniowa:
tam królik się schował.
Kurteczkę ma szarą,
ukryć się w norze stara,
ale go wydały
spodenki białe.

JEŻ

Jeż leży jak kłębek szpilek,
Jula się nad nim pochyla.
Janek stoi wysoko w oknie,
woła: „Tylko jeża nie dotknij!
Bo uczono mnie w szkole,
że jeż kole".

OKRUTNY JULEK

Julek poszczuł kota psami,
wielką przykrość zrobił mamie.
Nie chciała z nim rozmawiać maleńka Małgosia,
aż psy znowu uwiązał, a kota przeprosił.

NIEDOBRY CZŁOWIEK

A o tych wroniętach
matka ich pamięta.
Kto je z gniazda powybierał,
niech się teraz zła spodziewa.
Jak wyjdzie do ogrodu,
kozy go złe pobodą.
Jak wejdzie do stajni,
koń kopnie go najzwyczajniej.
A jak pójdzie w polu robić,
wrony mu oczy wydziobią.

BARANEK I BASIA

Babcia ma domek, koło domku ogródek, dalej sad i budynki. Babcia ma konie, krowy i owce. Owce mają małe baranki; baranki są łagodne, białe, na cienkich nóżkach.

Babcia zaprosiła Basię do tego domku. Stoi Basia na ganku rano w białej sukience. Włoski ma jasne, kolanka chude. Basia jest biała, łagodna, na cienkich nóżkach.

Stoi na dróżce baranek, ulubiony baranek babuni. Zobaczył Basię i jak nie zabeczy. Zobaczyła Basia baranka i także w bek.

Babcia wbiegła ze sadu do ogródka: „Bójcie się Boga!"— mówi. Zobaczył baranek dobrą babunię i becząc podbiegł do niej. „Be-be-be", zabeczał, „bardzo tu niebezpiecznie". Zobaczyła i Basia babunię, podbiegła do niej i objęła ją: „Babuniu, ja się boję!"

„Cymbał jesteś", mówi babunia do baranka. „Beksa jesteś", mówi babunia do Basi. „Nie bójcie się oboje. Zobaczycie, że się bardzo polubicie".

I to była prawda.

OLA I WODNIK

Wodnik koło młyńskie obraca:
spocił się, bo to ciężka praca.
Ola niesie wiśnie w koszyku,
„Może parę wiśni, panie Wodniku?"
Mówi Wodnik: „Muszę kręcić, bo koło stanie,
powieś mi ze cztery wiśnie tam, na parkanie".

ZIOŁA

Pójdziemy na manowce,
nazbieramy jałowcu.
Pójdziemy na rozstaje,
nazbieramy malin.
Pójdziemy po kępach i ostępach,
nazbieramy piołunu, dziewanny i mięty.

KĄKOL

Nie lubią ludzie kąkolu,
aż Stefcię serce boli!
A on nie wie, że psuje żyto,
i bez pytania zakwita.
Nie wie, że jest tylko chwastem,
i tak czysto, strzeliście wyrasta.
Stoi śmiały na słońcu,
a każdy go ze złością potrąca.

ŁOPUCHY

Łopuch nad stawem
z liściem dziurawym.
Łopuch nad rowem
suchy do połowy.
Łopuch na grzędzie
i łopuch wszędzie,
a pod łopuchem
same ropuchy.

ROPUCHA

Ropucha mieszkała pod kamieniem,
nie wiedziała, że się truskawki rumienią.
Przyszła Jadzia z talerzem:
„Dość ci już, ropucho, tam leżeć!
W sadzie pełno żuczków wszędzie,
pojadły mi truskawki na grzędzie.
Wyjdź z ukrycia,
weź się do bicia.
Wyjdź z pod kamienia,
weź się do czyszczenia!"

OLEK I MOTYL

Szedł Olek nad rowem
w cieniu,
motyl mu siadł na ramieniu.
Miał skrzydełka z perełek
i złota,
kolorami przed oczami
migotał.

U WODY

A naokoło — żniwa!
Księżyc po wodzie pływa.
Pawełek szedł wody zaczerpnąć,
widzi księżyc podobny do sierpa.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

Cienie przeszłości. — Twarze i maski. — Władysław Wężyk i Malcher. — Reduta warszawska. — Lia Sofistoff. — Lud ucieczką Prometeuszów.

FEJLETON obecny jest rodzajem listu otwartego do znanego dobrze naszym czytelnikom historyka K. M. Morawskiego. Chcę go w tej drodze zawiadomić, że znowu spotkałem się z cieniem jego dziada (przez matkę), Władysława Wężyka. Ukazał mi się już raz ten cień, gdym czytał „Pogankę" Narcyzy Żmichowskiej. Autorka zaklęła go w postać Benjamina, który przy płonącym kominku (w grudniu pewno 1840 r.) opowiada entuzjastkom i entuzjastom ówczesnym dzieje swej egzotycznej historji miłosnej.

— „Wołałyśmy na niego"—opowiada w przedmowie Żmichowska — „Humboldzie" dlatego, że dalekie odprawił podróże, albo „łysy" dlatego, że już wyłysiał okropnie... Opowiadał o Hiszpanji, Włoszech, Turcji, Persji, Egipcie. Ślicznie opowiadał z niezwykłą dla podróżników skromnością".

Widziano w nim wybitną osobistość, ale poetycką. „W życiu rzeczywistem" — utrzymuje Zmichowska — „nie umiał w pełnieniu obowiązków wznieść siły swego ducha do twórczych natchnień i działań". Jedna z kobiet tłumaczyła jego hamletyzm lenistwem; Żmichowska inaczej:

— „Z jego pięknych lubo nieco przywiędłych już rysów czytałam historję głębokich myśli, stłumionych gwałtownie uczuć, trudnych a wytrwale dokonanych przedsięwzięć. Byłabym ręczyła nawet, że jego martwa spokojność jest siłą męskiego charakteru, jego mierność — ukrytą wyższością, jego lenistwo — środkiem tylko pewniejszego spełniania niedocieczonych jeszcze przez nas widoków i zamiarów".

Wężyk jednem słowem miał w sobie coś, czem imponował i czarował. Działał na wyobraźnię. Pan na włościach, trzymający w Warszawie konie wyścigowe, dystyngowany Samuraj z dużemi koligacjami, znawca starożytności, romantyk wykształcony filozoficznie (heglista), wolny jak ptak, dawniej birbant, w r. 1840 liczył lat 26; tembardziej był interesujący, że rysy miał „przywiędłe" i dużo przeżył. Ale nadewszystko — podróżnik po odległych krajach. Jego „Podróż po starożytnym świecie", wydana w 2 tomach w r. 1842 była w owym czasie sensacyjnem zdarzeniem literackiem. Prof. Bystroń, wydając teraz wyjęty stamtąd opis Egiptu, nazwał tę rzecz najlepszą w polskiej literaturze do dziś dnia książką o Egipcie. Pomyśleć tylko, co to była w owe czasy podróż do Egiptu. Obecnie, nawet niewiasta (*vide* panna Ludwika Ciechanowiecka) potrafi dotrzeć do wnętrza Afryki, ale i to stanowi wielką sensację, wówczas zaś podróże takie były rzadkością, romantycznem poszukiwaniem stanów pozaspołecznej wolności. Wężyk był Farysem na wzór Emira Rzewuskiego. Pięknie wyglądał (tak go malowano) ze swoją słynną brodą w stroju beduina.

Pod hypnozą Wężyka pozostawał młodszy od niego o lat siedm Cyprjan Norwid. Wiele mu zawdzięczał, i umysłowo, i moralnie, i materjalnie. Razem we dwu dokonywali wycieczek po kraju, wreszcie razem opuścili kraj w jesieni 1842 r., aby już do niego nie wrócić. Po opuszczeniu Warszawy przebywał jakiś czas w Poznaniu, gdzie założył teatr, a potem, ożeniwszy się, osiadł na Śląsku pod Mikołowem i tam zmarł w kwiecie wieku w r. 1846.

Norwid ze swoją niewieścią naturą szukał oparcia w Wężyku; najlepsze to były dla niego czasy lata owego mentorstwa. W dyspucie towarzyskiej u Żmichowskiej, zanim Wężyk zaczął swą opowieść, brał też udział i Norwid. Żmichowska zanotowała zdanie, które wtrącił do rozmowy, ale w tem słówku genjalnie poetę scharakteryzowała. Norwid powiedział tylko tyle:

— Ale co łatwiejsze, to mniej piękne...

— — — — — — — — — — — —

Na lata 1863 — 1869, a więc na czasy o 20 lat późniejsze — przypada praca Norwida nad poematem dramatycznym (prozą) „Za kulisami". Za kulisami dramatu Tyrteusza. Czytając teraz ten oryginalny i ważny w dziejach Norwida utwór, do którego autor dorabiał przedmowy i prologi, w który wkładał, jak kamienie drogocenne, co miał najbardziej tęczowo rozbarwionego w swej liryce, znowu spotykam cień Wężyka.

O temacie obrazu dramatycznego powiem w dwu słowach. Jest maskarada karnawałowa w rozległych salach. I tutaj wydzielające się z tłumu pary i grupy wiodą rozmowy, w których brzmi echo odgrywanego gdzieś dalej na estradzie dramaciku (Tyrtej). Słychać od czasu do czasu gwizdania — utwór źle przyjęty. Z rozmowy pięknej damy (Lia) z powiernicą (Emmą) dowiadujemy się, że właśnie na tej maskaradzie miała się rozstrzygnąć sprawa jej małżeństwa. Jest tu obecny pan Omegitt, który dla jakichś powodów odroczył moment zaręczyn do świtania. W sercu damy dokonywa się jednak przewrót, bo oto szepnęła jej jakaś maska, że owym wygwizdywanym poetą jest tenże Omegitt. Wiemy już zgóry, że gdy nadejdzie świt, małoduszna dama zwróci pierścionki zaręczynowe poecie. Liczyła na jego sławę, nie zaś na *fiasco.* Krążył zaś koło damy zdaleka dygnitarz rosyjski, Sofistoff. I stało się, że nad ranem dama zwróciła Omegittowi pierścionki, a za chwilę przysłała mu bilet: „Lia Sofistoff".

Utwór ten doszedł do naszych oczu niecałkowity; robi wrażenie malowniczej ruiny. Odtworzony z pietyzmem przez Miriama („Pisma zebrane", tom C) ze szczątków rękopisu, i w tym stanie daje zupełne wyobrażenie o całości. W urywku przedmowy, który ocalał, poeta o bohaterze swego dramatu (panu Omegitt) pisze:

— „To był dobry człowiek — jedno w Omegach Wielkich nie siedział. Podróżował sporo lądem i morzem, a ludzi wiele to z przyzwoitych szlachciców, to i z najniższego urodzenia znał, jak swoich. Zmumifikowaną osobę z Faraońskiego czasu, całą od stóp do głów, w pudle do Polski przywiózł i dużo kamieni z rozwalisk, że tembyś dziedziniec spory wybrukował".

Dedykował zaś Norwid utwór swój Warszawie, do której zawsze tęsknił, a o której od powstania nie mógł bez rozrzewnienia myśleć:

...Tobie, o Warszawo,
Niosę dziś księgę mniej złoconą.
Dotknij jej swoją ręką krwawą,
Nie dzieweczko Ty, nie, — Matrono!

Syrena herbem twym zwodnicza,
Lecz ja zmierzyłem Oceany,
A pamiętałem Cię z oblicza
Jak Ty samotny — zapomniany!

Dlaczego dedykował Warszawie? Bo rzecz na scenie dzieje się w Warszawie. Owa zabawa karnawałowa — to słynna reduta warszawska, za

młodości Norwida w teatrze w „Salach redutowych“ urządzana. Autor na początku daje wskazówki topograficzne, a warszawianin z łatwością w nich się zorjentuje:

„Scena przedstawuje międzysionek teatru i maskaradowej sali. W środku kilka kolumn, pod któremi stoją służący. Z głębi słychać orkiestrę. Gdzie sala się z przysionkiem łączy, widać kilka siedzeń wykwintnie krytych i z pomiędzy kolumn przezierający róg bufetu“.

Norwid nazwał swój utwór fantazją. Wogóle leżało w naturze artystycznej Norwida, że brzydził się realizmem miejsca i czasu, t. zw. reportażem; znał tylko syntezy symboliczne. Zrobił wszystko w nazwach osób, żeby nie przypominały nikogo; ale z drugiej strony zbyt dobrym był artystą, aby obywać się mógł bez studjów z natury. Dawał bohaterom duszę wieczystą, ale oprawę jej cielesną widział i to było jego ponętą w sztuce, jako artysty plastyka. Dlatego w utworach jego przechowały się cienie osób żywych.

— — — — — — — — — — — —

Pomysł poetycki Norwida wyrasta z założenia lirycznie osobistego. Z wyżyny swoich czterdziestu kilku lat (a był już wtedy stary), patrzył na świat przebyty jak na środowisko maskaradowe. Siebie umieścił w postaci Omegitta (już nie żyjącego Wężyka), a sam zajął miejsce w dramacie uboczne, jako tamtego ciało astralne, pod nazwą Quidam. Zebrał zaś w tym dramacie wszystko, co się z nim samym stało na przestrzeni młodych lat dwudziestu. Czy gdyby miał sławę, zlekceważonoby jego miłość? Gwizdano, do tego odsunęła się od niego ukochana tak Marja Kalergis. Ona to figuruje w dramacie, jako Lia. Jest to już kobieta nie młoda, bo rzecz dzieje się w r. 1863.

Właśnie powstał ten pomysł wtedy, gdy poeta dowiedział się o zamążpójściu p. Kalergis. Wyszła za Rosjanina, pułk. Sergjusza Muchanowa, dyrektora policji warszawskiej, później prezesa teatrów. Muchanow był od niej młodszy; wyszła bez miłości; owa niegdyś patrjotka polska; w roku 1863! Norwid po rycersku nie znęca się nad nią, liczy jej tylko krzywdę osobistą. Może zlitował się nad nią, dowiedziawszy się, że wnet po ślubie dostała obłędu. Był to obłęd czasowy i zdarza się kobietom w tym wieku.

W świetle historji jednak daje się widzieć jakąś dyspoporcję objektywną w podziale Norwida między krzywdą, jaką zrobiła niejednemu mężczyźnie, a krzywdą zrobioną... Warszawie, której poeta utwór poświęcił.

Omegitt, jakby zgóry czuł, co się święci, tai w sobie dramat do końca maskarady. Wygłasza, jak Hamlet, monologi filozoficzne na temat zdobywania Prawdy. Gdy prawda jego dramatu już się wyjaśniła, opuszcza wespół z Quidam salę redutową. U wyjścia czekał na niego wierny służący, mazur Malcher, niezawodny nigdy punkt oparcia dla rozbitka duchowego.

— „Konie nasze rwą się... Czekałem-ci z płaszczykiem, wytrzeszczając oczy na prawo i na lewo... Wszędzie albowiem, jak to mówią (z przeproszeniem) dobrze z dobrymi... aleć w domu najlepiej“.

— Amen, tobie powiadam — odrzekł pan.

Przedtem już, w najkrytyczniejszym momencie, gdy pełen goryczy rozważył, że przepadł jako artysta i człowiek, zakończył nagle monolog filozoficzny głosem serca takim, jakim dziecko woła matkę w nieszczęściu:

— „Malcher, o Malcher! Ty chodząca klepsydro moja! Dopokąd widzę długie wąsy twoje i wzrok rzewny pod ciężkiemi brwiami twemi, dopokąd pętlice czamary twojej oglądam, tyle i opamiętywam się w otchłani“!

I to jest — według mnie — najwyższe wzniesienie dramatu Norwidowego. Tak samo później kończył Wokulski B. Prusa:

— Ziemia, człowiek prosty i Bóg!

Polak na wyżynach cywilizacji, ilekroć doznaje zawrotu głowy, dając do siebie dostęp zwątpieniom i zawisa nad otchłanią, to wtedy jedyną widzi otuchę w tem, że istnieje lud. Wszystko może zawieść i ulec katastrofie, ale podstawy są pewne, owe rezerwy cywilizacji, rękodajny człowiek prosty z ludu. Zostają zawsze pewne, jako punkt wyjścia, niziny, którym sprzyja Bóg.

Czemże był dla pana na Omegittach, Wężyka, wyrafinowanego światowca ze szczytów kultury polskiej, czemże był ów wieśniak mazurski, Malcher? Wyjaśnia to Wężyk w prologu do utworu „Za kulisami“ w słowach, zwróconych do Quidam-Norwida:

— „Ty, co kolumny i posągi umiejętnem oglądałeś okiem, powiedz, czy w bez-posągowym kraju, jakim (jest Polska) przeniosłeś kiedykolwiek spojrzenie toż samo na żywe postacie ludzi... Czy uważałeś, jak dalece starożytnym narodem jest Ojczyzna nasza? Weź naprzykład nowożytny typ służącego Anglika lub Francuza, weź i Niemca... Czy widziałeś to w Polsce?

„Polacy, możnaby powiedzieć, iż nie rodzą się na służących. To są zawsze giermki i t o w a r z y s z e i l u z a k i i podrzędnego stopnia b r a c i a r y c e r z e, którzy, jeszcze przez feodalne niższe praktyki kawalerskie nie przeszedłszy, podają ci laskę i kapelusz, jak podawało się ongi strzemię i miecz. Dla tego to w chwilach wielkich wielcy są, w potocznych służbach codziennych zaniedbani, często gęsto poufni gawędziarze, nie pogardzający łzą rozrzewnienia i kieliszkiem“.

Niezwykle trafne spostrzeżenie, przynoszące zaszczyt kulturze pojęć społecznych, które szerzył romantyzm.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Na tem urywam, bo i tak ciasno w numerze. Jedna tylko uwaga. Pod tytułem „Za kulisami“ autor wypisał *motto* z Malczewskiego: „Czy znasz weneckie zapusty“. Z Malczewskiego więc wziął pomysł masek. Ale nie bez wpływu były i „Dziady“. Na reducie warszawskiej pełno jest szpiegów, są i spiskowcy. Norwid usiłował dać obrazowi zabarwienie polityczne. Był jednak zarazem prekursorem Wyspiańskiego: sceny z maskami w „Wyzwoleniu“ uderzająco przypominają Norwida. Jestem prawie pewien, że Wyspiański za bytności w Paryżu studjował rękopis „Za kulisami“ i „Tyrteja“, znajdujący się u W. Gasztowta. Tak wiążą się tradycje literackie...

Pod wszystkiemi temi maskami, jak u Malczewskiego, tak i u Norwida i Wyspiańskiego, ukrywają się jakieś twarze-modele. Czy godzi się tym cieniom uchylać maski i w twarz zaglądać? Ze względów literackich — sądzę — nawet należy, aby wiedzieć, jak sobie poczynał twórca maski, mający coś symbolizować. W każdym razie Władysław Wężyk, źle na tem nie wyjdzie, godzien bowiem jest poznania.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

DOBRZE CZASEM JEST PRZECZYTAĆ POCHWAŁĘ ROZBICIA NARODU. Dobrze dowiedzieć się, że niby są dwie Polski. Uprzytomniwszy sobie te artykuły wiary przedstawiciele starszego pokolenia, z obozu, będącego dziś przy władzy, zdajemy sobie sprawę, że psychika ich rzeczywiście jest odrębna od psychiki młodszych. Gdy postawią tak przed oczy swoją odrębność, widać dobrze, z czem trzeba skończyć. Ostatnio posłowie z B. B. i szeroki ogół poinformowani zostali o tezach konstytucyjnych sanacyjnego sztabu. Ale realniejsza o wiele od tamtych jest teza, że naród pozostać powinien w rozbiciu i to dopiero prawdziwa teza konstytucyjna. Reszta to tylko *camouflage*. Teza ta jest, jak stwierdza miarodajnie prasa sanacyjna, równoznaczna z pochwałą trwałego stanu wojny domowej w Polsce. Przypomina nam o tem „Gazeta Polska" (z 16 b. m.) słowami wyraźnemi: „Od dnia 16 grudnia 1922 r. rozpoczyna się w Polsce wojna domowa. Ta wojna, której brakło nam przez tyle stuleci". Z satysfakcja ogromną przedstawiciele starego pokolenia obozu „sanacji" gratulują sobie, że brak ten uzupełniono. Zadowolenie zaś wzrasta niepomiernie, kiedy spostrzegą, że to poprostu walczy wielkość z małością, i że wielkość — to oni. „Tak. Dn. 16 grudnia 1922 r. zerwany został po raz pierwszy od wielu stuleci — ów niepisany rozejm między wielkością i małością. Zerwany na zawsze".

Groteska wyjaskrawia się w miarę, jak starsi robią się starsi. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że politycy nawet czterdziestoletni z obozu „sanacji" są już umysłowo za starzy, żeby mogli w Polsce odgrywać rolę bez izolowania się od całego młodszego pokolenia. Nie można się spodziewać, aby kiedykolwiek przestali być tem, czem są dzisiaj, produktami i ofiarami walki z „endecją". Ale pole powinno być czemprędzej uprzątnięte z tych ofiar. Ortodoksja partyjna, teza o tem, że naród jaknajdłużej powinien pozostać rozbity i że są dwie Polski — dla całego wchodzącego w życia i zaczynającego myśleć samodzielnie pokolenia jest nie do przyjęcia. Jest to dziwactwo, tylko wskutek śmiesznego obrotu zdarzeń rozpowszechniane dziś uroczyście i urzędowo, pożyteczne zresztą poniekąd przez swoją groteskowość. Uwydatnia ono całą różnicę między zwolennikami groteski i ludźmi pojęć normalnych o życiu narodowem — i odstręczając dziwacznością, przyczyni się znacznie z pewnością do przyśpieszenia normalizacji życia politycznego w Polsce. Niedaleki napewno jest czas, kiedy młodzi, różnych nawet obozów, poczuwać się będą do wspólnego obowiązku walki z ideologją robicia narodu — walki serjo, chociaż tylko z groteską.

PÓŁURZĘDOWA „Gazeta Polska" (nr. 345) zamieszcza na czele numeru artykuł „Początek walki ze zbiorowym kułakiem", nadesłany przez stałego korespondenta w Moskwie Otmara (żyda Bersona). Artykuł, utrzymany w tonie pełnym nienawiści do chłopa rosyjskiego, zaczyna się w ten sposób:

„Wczesną wiosną roku ubiegłego reżim stalinowski jednocześnie chwycił rosyjskiego k m i o t k a za gardło ręką czekisty z „wydziału politycznego przy stacji maszynowo-traktorowej", podsuwając mu jednocześnie przed w y ł a ż ą c e z o r b i t ś l e p i a miraż „zamożności wewnętrznej kolektywu". Poddany takiej dubeltowej kuracji m u ż y k z b a r a n i a ł... i zasiał, i zebrał i omłócił".

Mamy w tem dowód, jak zażydzona jest „Sanacja", że nie spostrzega ohydy w podobnem traktowaniu ludu wiejskiego. Taki sam stosunek widzimy już u niej do chłopa polskiego.

I to ma być Elita polska (w redakcji pewno niema ludzi bez orderów), która ma nadawać kierunek polityce i kulturze polskiej! Chyba nie przesadne jest wymaganie stawiane czynnikom będącym przy sterze, aby zachowywały postawę polską. Poco zajmować stanowisko żydowskie? Poco schlebiać czekistom?

NAUKA I LITERATURA

POWIEŚĆ TONICZNA

CZYTELNICY obserwujący linję rozwojową talentu Miłaszewskiej, z niecierpliwem zaciekawieniem wezmą do ręki jej ostatnią powieść: „Trzecia siostra".

Wystarczy zwykle otworzyć nierozciętą książkę w księgarni, aby zorjentować się w klasie pisarskiej autora, Czasem nawet kilka zdań na chybił-trafił wyrwanych wprowadzi dobrze w nastrój i da odczuć gatunek powieściowej atmosfery. Ale są też dobrzy pisarze, których wartości pojedyńcza stronica nie wyjawi. Rzut oka na fragment prozy niezdolny jest jeszcze wtajemniczyć nas w prawdziwy smak czytania. Są to utwory, oddziaływające przedewszystkiem efektem całości: konstrukcji i przesnutego wątku. Mogę być napisane stylem niepłynnym, techniką nieciągłą, „kontrapunktową" — jak np. poźniejsze utwory Kiplinga, konspirujące akcję między strzępkami djalogów i opisów, a przecież wielce interesujące akcją. Otworzywszy „w środku" taką nowelę nie można się tak łatwo domyślić, o co chodzi. I mogą być też pisarze, celujący ogromnie płynną narracją, a jednak równie z kawałka tekstu trudno się będzie domyśleć tych przyjemności i niespodzianek, jakie odkryje przed czytelnikiem utwór, kiedy się go pozna w całości, podążając za opowiadaniem od początku do końca.

Wanda Miłaszewska należy do tej właśnie kategorji pisarzy. Nie zaliczając się do wymyślnych cyzelatorów słowa, obiera sposób wyrazu artystycznie celowy. Pisząc prostą, podobną do potocznej inteligenckiej mowy polszczyzną, wiedziona trafną intuicją, odrzuca poetyzowanie, będące plagą naszej beletrystyki, i odróżniające ją dziś tak niekorzystnie od produkcji narodów zachodnich na tem polu. Silące się na ozdobność słowo rzadko kiedy powetuje i okupi takie kardynalne wady, jak brak poprowadzonej zręcznie i zajmująco akcji, brak znajomości życia, niedostatek obserwacji i zmysłu prawdy, niezdolność uprawdopobnienia psychologicznych perypetyj. Wanda Miłaszewska jest pod tym względem oryginalnem u nas zjawiskiem zachodnio-europejskiej techniki powieściowej.

Zwłaszcza w ostatnich jej powieściach, pisanych z biegłą umiejętnością skrótu kompozycyjnego, i unikających dłużyzn, któremi grzeszyły niektóre dawniejsze utwory — ten rys oryginalny jej talentu zaznaczył się najwyraźniej. I ona wprawdzie ulegnie czasem przemożnej w powieściopisarstwie naszem modzie i z pod jej pióra wymknie się niekiedy jakieś poetyzujące niepotrzebnie zdanie — ale to rzadkie wyjątki. Za zadanie stawia sobie nie pisać o nastrojach, ale je stwarzać, popychać naprzód akcję rzetelnym wysiłkiem wyobraźni, zniewolić zainteresowanie czytelnika konsekwentnym rysunkiem charakterów, praktycznem użyciem słowa powiększać powieściową ułudę. To za zadanie sobie stawia, i to osiąga: czytelnik polski czyta Wandę Miłaszewską, jak czytelnik

angielski czyta swoich beletrystów: dla przyjemności, dla zaznania złudzenia, dla przeżycia czegoś wewnętrznie, z poczuciem, że się — odpoczęło.

Jak bardzo tego rodzaju technika powieściowa odpowiada potrzebom i gustom czytelniczym — dowodem wielkie powodzenie utworów utalentowanej narratorki. Nadmierny popyt na naszym rynku wydawniczym na najlichsze nawet przekłady z literatur zachodnio-europejskich jest tego drugim dowodem. Chodzi tu najwyraźniej o typ powieści—o typ, jaki się dotąd u nas należycie nie wykształcił. Skutek jest ten, że ludzie wolą czytać fatalne przekłady, niż najpiękniej ekspresyjne utwory beletrystyki rodzimej. Nie wstręt do „piękna" przecież to sprawia, lecz z pewnością głód wrażeń, jakich nasza beletrystyka, mimo wszystkich swoich pretensyj literackich, dać nie umie. Zbyt mało mamy powieściopisarzy, gospodarujących słowem nierozrzutnie i praktycznie, a naprawdę interesujących w czytaniu.

„Trzecia siostra", ostatnia powieść Miłaszewskiej, uwydatnia ponownie tę „zachodniość" pisarskiego typu autorki. Ale użytkowy stosunek do słowa i dar narracji — nie charakteryzują jej jeszcze dostatecznie. Czytając tę najnowszą powieść, przenoszącą nas do mieszkań warszawskich i do dworów wiejskich, i uprzytomniającą nam codzienność życia na wsi i w mieście z wyrazistością, osiągniętą w drodze artystycznej selekcji niewielu charakterystycznych rysów — zdajemy sobie sprawę, jak bezstronnie wzrok autorki notuje owe rysy. Bez wahania dostrzeże prostactwo, gdziekolwiekby dało znać o sobie — zwłaszcza zaś na t. zw. wyższych kondygnacjach kultury; i tak samo zauważy natychmiast—wszędzie, gdzie się zaznaczą—ludzkie i sympatyczne cechy i wartości. Gotowe ma autorka dla swych bohaterów dary serca i sympatji; — ale nie powód to dla niej, żeby upraszczać i jednostronnie malować charaktery. Naczelni bohaterowie jej powieści, Aldona i dr. Jarzemski, traktowani z wyraźną sympatją, nie są „uproszczeni" do schematycznej szlachetności i prostolinijności. Tkwią w nich skomplikowania i niespodzianki, zagadkowe i niezrozumiałe także i dla nich samych — a przecież jakże ludzkie. Charakterystyczne jest, że tych bohaterów, przystojnych i pięknych fizycznie, tak często daje nam autorka oglądać — kiedy są brzydcy, w zwyczajnej kolei zdarzeń zmęczeni czy znękani. Sztuki prostej używa, żeby ukazać zdumiewającą złożoność życia, w pogardzie ma łatwą idealizację i łatwe potępienie. Nie ułatwia też sobie filozofji życiowej przyjęciem postawy bezkrytycznego optymizmu. Wrażliwa jest intelektualnie i uczuciowo na wszystko to, co — wedle kryterjów ludzkich—wydaje się bezsensowną i okrutną igraszką losu — i właśnie żywi najtrudniejszą, głęboko katolicką wiarę w Opatrzność...

Ostatnia z szeregu tonicznych powieści Miłaszewskiej daje próbę możliwości jej talentu w najpełniejszej dotychczas skali.

W. J. C.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO I NAUKOWEGO

W listopadzie r. b. powstała w Warszawie polska księgarnia prawnicza. Staraniem „Tow. wydawniczego młodych prawników i ekonomistów" otwarto bogato w podstawowe dzieła z dziedziny prawa i ekonomji zaopatrzony, dział prawno-ekonomiczny w „Księgarni Rolniczej" (Mazowiecka 10). Odpowiedni dobór książek, jak również fachowe kierownictwo nowootworzonego działu pozwalają wierzyć, iż poczynania pierwszej polskiej placówki księgarsko-wydawniczej w dziedzinie prawa i ekonomji, spotkają się z należytem uznaniem i poparciem w sferach zainteresowanych. Księgarnia prawników wydała katalog posiadanych dzieł; katalog ten wysyłany jest na każde żądanie.

Obok działalności księgarskiej spółdzielnia rozwija również działalność wydawniczą. Organem spółdzielni jest „Przegląd Prawa i Ekonomji", którego najbliższe tomy poświęcone będą zagadnieniom kartelizacji, kredytu krótko — i długo terminowego w rolnictwie, kwestjom administracyjno-samorządowym, porównawczemu studjum nowych kodeksów karnych. Siedziba Towarzystwa mieści się w Warszawie przy ul. Kopernika 30 pok. 405, tel. 30-37. Biuro Spółdzielni czynne jest w godz. 10—11. Dyżury Zarządu odbywają się w środy i soboty w godz. 17-19. Konto czekowe w P. K. O. Nr.28.268.

Poczynienia młodych prawników zasługują na gorące poparcia.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazała się w druku bardzo ważna praca programowa prof. Romana Rybarskiego p. t. „Podstawy narodowego programu gospodarczego", przeznaczona, jak zaznacza autor w przedmowie, „dla szerszych warstw, które interesują się zagadnieniami naszego bytu gospodarczego i szukają drogi wyjścia z dzisiejszych trudności". Książka składa się z trzech części:

I. Naród a gospodarstwo: 1) Odrębność narodowa w gospodarstwie. 2) Gosp. w życiu narodu; 3) Samodzielność gosp. narodowego; 4) Własne gosp. narodowe; żydzi; 5) Własna ideologja gosp.; 6) Upadek gosp. światowego a odrębności ustrojów gosp. II. Podstawy ustroju gospodarczego: 1) Pojęcie prywatnej własności; 2) Własność prekaryjna; 3) Kapitalizm państwowy i upaństwowienie kredytu; 4) Rola własności prywatnej i wolnej gospodarki; 5) Rola państwa w gosp.; 6) Hamulec działalności gosp. państwa. III. Praktyczne zagadnienia gospodarstwa narodowego: 1) Ewolucja ustroju społecznego; 2) Znaczenie warstw średnich; 3) Ziemia nie jest towarem; 4) Polityka rolna; 5) Rzemiosło i polskie mieszczaństwo; 6) Wielki przemysł; 7) Sprawy robotnicze; 8) Kapitalizacja i kredyt; 9) Niezależność gosp.; 10) Zakończenie. Skład główny: Dom Książki Polskiej. Cena egz. 2 zł. 50 gr.

*

Kazimierz Kalinowski w broszurce „Wiara w człowieczeństwo, Na marginesie „Szkiców" Adama Szymańskiego", wydanej w Warszawie, wykazuje wyższość ideową tych szkiców sybirskich nad „Martwym Domem" Dostojewskiego. Już krytyka obca, w szczególności francuska, zestawiając z sobą te dwa dzieła, podkreśla w utworze polskim jasność uczuć autora i ideową głębię postaci. Od czasów pierwszego wydania „Szkiców", a następnie kilku wydań, ostatnio we Lwowie, z godną tego natchnionego dzieła przedmową Adama Grzymały Siedleckiego, sporo przybyło przekładów, najwięcej w języku rosyjskim i niemieckim, pojedyńczych nawet w angielskim i serbskim, wreszcie we francuskim przekładów i studjów, Daniela Ropsa oraz słynnego tłumacza reymontowskich „Chłopów" i powieści Ossendowskiego, Franciszka L. Schoella. Poza zaletami artystycznemi ukazują te przekłady, nieznane zagranicy fragmenty narodowych powstań, dantejskie sceny z życia zesłańców syberyjskich, tem bardziej wzruszające, że wyrażone z prostotą, którą daje prawda. Opisy krajobrazów Sybiru, kreślone ręką Szymańskiego na bezterminowem wygnaniu w ziemi Jakutów, wyrażają, wedle słów K. Kalinowskiego, sumę udręczeń politycznych, przeraźliwość oddalenia, okrucieństwo klimatu i losu, „streszczają niemoc narodu jarzmionego i całe jego męczeństwo za to, że nie chce się z tem ujarzmieniem pogodzić", są to „nowe kwiatuszki Franciszka Serafickiego nad światem wieczystego lodu". A. Szymański „wlewał w duszę polską wiarę w wartości moralne rasy polskiej". (A. W.)

TEATR

„NAD PRZEPAŚCIĄ" G. B. SHAWA W TEATRZE POLSKIM

NAJWIĘCEJ rozpowszechniony u nas pogląd na twórczość Shawa jest zarazem najfałszywszy. Shaw nie jest tym filutem intelektualnym, za jakiego pospolicie uchodzi. Nie dokazuje na scenie, nie fika koziołków, nie żongluje paradoksami dla czczego efektu. Nie nadarmo wyrósł z purytanizmu. Doskonale wie, czego chce, i z przejęciem apostołuje na rzecz określonych idej. Jest twórcą ideowym, — ale obcym. Dlatego tylko publiczność nasza nie wie nigdy, czy Shaw mówi serjo, czy żartem, i czy wogóle kiedykolwiek mówi serjo. Inaczej jest z publicznością, dla której autor pisze. Anglicy z łatwością odgadują, jakie są intencje Shawa, i za czem oręduje jego propagandowa muza. Sedno w tem, że Shaw jest pisarzem z obcego klimatu moralnego. To też wystarczyło, żeby za figurę retoryczną kaznodziejstwa obrał paradoks, aby stał się dla słuchaczy polskich niezrozumiałym.

Wskutek tego wpływ Shawa u nas nie sięgnął szeroko, właściwie ograniczył się do jednej rzeczy. Komedjopisarze w Polsce, widząc, że sławny Shaw fika, zrozumieli, że trzeba fikać. W rzeczywistości Shaw inne daje nauki. Jaknajdalszy jest od relatywizmu moralnego. Zerwał z ciasnotą poglądów purytańskiego środowiska, lecz z kręgu jego wyniósł prostolinijność moralną i żarliwość uwielbień. Nic niema w nim perwersyjnego; nic cynicznego; silna jest zato afirmacja rzeczy prostych. Zasadza się ona na niepowszednio poetyckiem odczuciu godności ludzkiej. Shaw wielbi odwagę, zdolność poświęcenia, rozum i wolę człowieka. Bohaterowie jego mają większą o wiele, niż to ma miejsce w sztukach większości dramatopisarzy współczesnych, zdolność do decyzji myślowej i do czynu. Sprawy uczucia i instynktu odsunięte są na plan stosunkowo dalszy. Na tem polega ogromna oryginalność pisarza i wielce ludzki wdzięk jego indywidualności. Figury swoje wyposaża w życie, ale w życie, jakiego zwykle figurom scenicznym nie dostaje. Rozum i wola—to dziedziny życia duszy zbyt wąskie i mało interesujące z punktu widzenia normalnych poszukiwań dostawcy sztuk na scenę. A przecież Shaw, powiększając tylko bujność życia bohaterów, pokazał, że i te dziedziny można eksploatować, bez obawy wpadnięcia w publicystyczną „suchość".

Tematy sztuk Shawa są poważne. Ostatnia komunikuje nam zwierzenia autora o dylemacie dyktatury i rządów demokratycznych.

Shaw wraz z większością współczesnych umysłów europejskich przeżywa to zagadnienie, i ze sztuki widzimy, jak trudno mu rozstrzygnąć. Nic dziwnego. Nie znaczy to, żeby myśl była niejasna.

W pierwszym akcie sztuki widzimy premjera rządu brytyjskiego „przy pracy". Mąż stanu przedstawia się nam jako bezmyślny automat, gramofon recytujący kawałki, ulubione przez wyborców. Wszystko to brzmi banalnie lub fałszywie. Prawda zamienia się w nieznośny, tępy frazes, pustka duchowa zionie. Obraz „rządów" demokracji.

Ale oto na skutek pobytu w cudotwórczem walijskiem sanatorjum premjer wraca na „Downing Street" człowiekiem nowym i samorzutnie występuje z twórczym programem rewolucyjnym, spełniającym życzenia mas. I cóż się okazuje? Masy za pośrednictwem swoich przedstawicieli odnoszą się do zapowiedzi nieufnie—bo to program rządowy. Zato koledzy premjera w gabinecie, wielkokapitalistyczni macherzy, witają nowinki życzliwie, orjentując się, że i pod *régime*'m kolektywizmu będą załatwiać swoje interesy, i to bezpieczniej.

A więc system „demokratyczny" zawodzi zawsze. Wszystko jedno, czy na czele rządu stoi bezmózgi manekin, czy człowiek silny i twórczy. Efekt rządów zawsze będzie karykaturalny. Jakże więc złu zaradzić i jakich szukać rozwiązań?

Odpowiedź przynosi akt trzeci. Shaw opowiada się za dyktaturą. Masy nie są powołane do tego, żeby pouczać rządzących, jak rządzić. Tego nie potrafią, i wcale nie o to chodzi. Ważna rola ich polega na czemś innem. Powinny dawać znać, kiedy im się dzieje krzywda: w ten sposób udzielą jedynej wskazówki, niezastąpionej i cennej, jakiej udzielić są zdolne. Niech zatem rządzi dyktator — ale pod czterema warunkami: 1) że będzie miał sumienie, 2) górować będzie nad innymi wiedzą i wykształceniem, 3) odtrąci karjerowiczów, 4) uwolni kraj od plagi bezrobocia. Nie ma bowiem dla Shawa powabu ta druga alternatywa, że mógłby objąć rządy dyktator bez sumienia, półinteligent, dający zagrzać przy sobie miejsce karjerowiczom, nie umiejący zato dać pracy bezrobotnym... Alternatywa to zaś, nie fantazja. O takiego dyktatora najłatwiej. Shaw zdaje sobie sprawę, że idea zbawczej dyktatury nie jest bardzo praktycznem rozwiązaniem, że właściwie nie jest rozwiązaniem wcale. Nic dziwnego, że właśnie po znalezieniu tego rozwiązania zapanowuje w sztuce nastrój największej bezradności — i jakby beznadziejności. Lecz niespodziewanie Shaw zakończy akcentem optymizmu. Przez trzy akty teoretyzował, — a wtem odezwie się, nie jak rezoner, lecz jak znawca ludzkiego serca i poeta.

Pod dom premjera wdarł się na Downing Street tłum bezrobotnych, sama młodzież. Tłuką szyby, naturalnie przez pomyłkę, nie w mieszkaniu premjera. Ten ostatni w towarzystwie żony i młodej sekretarki wygodnie obserwuje przez okno napływającą falę ludzką i zabiegi policji, przygotowującej się do akcji. Zgiełk, dolatują z ulicy dźwięki pieśni' jakiś hymn potężnieje. To schwytany w ślepej uliczce tłum śpiewa; i śpiewać nie przestaje, kiedy—wytrzymać przychodzi natarcie policyjne. Jedna z patrzących osób słabnie. To wyglądająca przez okno sekretarka nie może znieść widoku walki bezbronnych z uzbrojonymi; słania się; wtem odzyskawszy siły, wybiega, nieodparty odruch solidarności każe jej przyłączyć się do tych, co atakowani przez motopompy i bici pałkami, śpiewają swą pieśń: „Powstań Angljo"...

Starzec Shaw urywa długą dyskusję, nie kończy: zamiast mnożyć argumenty, wskazuje na realną siłę, która rozstrzygnie o przyszłości: ruch młodych.

Wystawiona przez Teatr Polski sztuka wniosła na parę godzin na scenę dziwną atmosferę kraju, gdzie pisarze swobodnie dyskutują o sprawach politycznych. Publiczność premjerowa czuła się przyjemnie podrażniona tą niezwykłością sytuacji, ale miała duże trudności z wyrozumieniem, o co autorowi chodzi. Na prawo i na lewo powtarzano o „koziołkach".

Sztuka prawie bez akcji, jest właściwie rozłożoną na głosy dyskusją. Talent sceniczny i dramatopisarski Shawa nie zabłysnął w niej tem powabnem i niespodzianem światłem, którem nieraz dawniej olśniewał. Aktorzy ról popisowych, właściwie nie mieli. Bardzo duży ciężar głównej roli podźwignął Junosza-Stępowski, a spisał się znakomicie. Świetnych artystów: Marję Przybyłko-Potocką, Zelwerowicza, Samborskiego oglądaliśmy w drobnych, epizodyczych rolach. Zresztą zespół cały grał dobrze pod kierunkiem reżyserskim Schillera, co tembardziej zasługuje na pochwałę, że o skarykaturowanie mało rozumianej, bardzo obcej, a granej z polska sztuki było przecież niezmiernie łatwo. Karykatury tej uniknięto jednak.

Przekład, snadź poprawiony siłami teatru, szwankował jednak tu i owdzie. Zabawnie np. brzmiało oświadczenie Samborskiego: „mam dwadzieścia tysięcy pełnych krwi policjantów". Czyżby miał to być przekład angielskiego *„full-blooded"?*

Sztuka właściwie niema samoistnego bytu; reprezentuje tylko ostatni etap rozterki intelektualnej Shawa. Słabiej więc z natury rzeczy musi interesować tych, co rozterki tej nie śledzą i autora jako publicysty politycznego nie znają.

C.

ZALOTNICY NIEBIESCY

TEATR Mały wystawił nową trzyaktową sztukę p. Marji Jasnorzewskiej (Pawlikowskiej), pod tyt. „Zalotnicy niebiescy".

Owi zalotnicy — to lotnicy. Rzecz dzieje się w obrębie lotniska wojskowego, blisko jednego z większych miast w Polsce.

Heroiną sztuki jest żona lekarza pułkowego. Wszyscy o niej twierdzą, że to „kobieta wyższa". Na czem owa jej „wyższość" polega — tego autorka nam wcale nie pokazała. Ograniczyła się do niczem nieumotywowanych zapewnień, włożonych w usta osób występujących w sztuce. W „wyższość" pani doktorowej Noli Odbieckiej powinniśmy wierzyć „na kredyt". Prawdopodobnie (ale tego się tylko domyślam), pani doktorowa Nola Odbiecka góruje nad innemi pułkowemi damami intelektem.

Góruje nad mnóstwem kobiet również temperamentem, pomimo iż niekochany mąż—lekarz pomawia ją o *frigiditas*,

czyli oziębłość zmysłową. Pani doktorowa Nola Odbiecka romansowała po kolei ze wszystkimi oficerami eskadry. Autorka sztuki nie waha się jednak darzyć swojej heroiny najszczerszą sympatją, uważać za wzór kobiety-człowieka. Małżeństwo pani Noli—to było nieporozumienie. Zdaniem autorki, miała prawo zdradzać swojego męża, ponieważ go nie kochała. Wszystkie romanse pani doktorowej aż do zakochania się jej w kapitanie-pilocie Jastrambie—to również szereg pomyłek, z których p. Jasnorzewska - Pawlikowska rozgrzesza swą bohaterkę również lekko, jak z wiarołomstwa względem męża. Cóż była winna biedna „wyższa" kobieta, że trawił ją „głód życia", a cała eskadra lotników nie potrafiła głodu owego zaspokoić. Z chwilą, gdy „po raz pierwszy" zakochała się „naprawdę" w kapitanie-pilocie Jastrambie—wszystko, co przeżyła—poprzednio przestało się poprostu liczyć—i tyle.

Otóż bardzo mi przykro, ale w „wyższość" pani Noli Odbieckiej, pomimo najlepszej woli, uwierzyć mi bardzo trudno. Fakt, że dama owa objawia raz po raz tak zw. uczucia humanitarne, że zachwyca się bohaterstwem pilotów prawie tak samo, jak ich urodą, że nie życzy śmierci swoim byłym kochankom, których spotkała katastrofa,—to zamało. Frazesy, wypowiadane przez panią Nolę, świadczą o tem, że ma ona inteligencję nader przeciętną. Inteligencję conajwyżej średnią. Góruje nad innemi pułkowemi damami? Tem gorzej dla owych dam. Są to widocznie biedactwa bardzo upośledzone. W każdym razie nie widzę najmniejszej racji, żeby pani Noli współczuć, a uważanie jej za wzór kobiecego człowieczeństwa wydaje mi się poprostu absurdem.

Bardziej jeszcze od pani Noli Odbieckiej razi mnie w sztuce p. Jasnorzewskiej - Pawlikowskiej figura jej męża. Doktór Odbiecki, zastawszy swoją żonę w objęciach kochanka, przymyka najpierw oczy i nie chce absolutnie o niczem wiedzieć. Kochanek jest jednak człowiekiem honorowym. Od początku swego romansu pragnął sytuację wyjaśnić i uporządkować. Oświadcza się tedy mężowi o rękę doktorowej—i prośba jego zostaje uwzględniona. Ten doktór to obrzydliwiec. Pani Jasnorzewska traktuje go z sympatją.

Najprzykrzejszym jednak momentem sztuki, momentem, który budzi najwięcej niesmaku, jest ta scena, w której bohaterski kapitan-pilot Herrub zdradza się ze swemi ideałami. Ideałem tego polskiego oficera jest stworzenie międzynarodowej armji lotniczej, któraby była powołana do „karania" narodów łamiących pokój.

Czujemy znowu, że ideały owego oficera pokrywają się całkowicie z ideałami autorki. Byliśmy tą sceną bardzo zgorszeni. Rzecz osobliwa: żydowska przeważnie publiczność premjerowa, oklaskująca inne liberalizmy autorki frenetycznie, w tem miejscu nie odważyła się wybuchnąć oklaskami. Żydy są dzisiaj „państwowe". Czuły, że nie wypada oklaskiwać oficera, który za wygłaszanie podobnych poglądów powinien zostać natychmiast usunięty z szeregów polskiej armji. Jest bohaterskim lotnikiem? Wspaniale. Niechże sobie lata zdrów, ale — po cywilnemu. Na lotnisko wojskowe takiego jegomościa wpuszczać stanowczo nienależy.

Pozatem sztuka pani Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej napisana jest bardzo zgrabnie. Tu i ówdzie świeże obserwacje. Tu i ówdzie dowcipny pomysł. Parę scen dających aktorom pole do popisu. Przedstawienie irytujące zlekka, chwilami nawet oburzające, ale ogląda się je z zainteresowaniem. Klimat moralny — nieznośny. Pachnie ze sceny Krakowskim Kurjerkiem Ilustrowanym. Ale kunszt pisarski pani Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej stoi na bardzo wysokim poziomie. Cóż za szkoda, że ta utalentowana poetka, która tak dobrze umie pisać wierszem i prozą — bardzo źle myśli. Płyciutko i nieściśle.

Sztuka została doskonale wyreżyserowana przez pana Janusza Warneckiego, który wykonał również rolę naczelnego amanta. W roli heroiny wystąpiła pani Marja Gorczyńska. W roli jej męża Wojciech Brydziński. Pozatem w przedstawieniu biorą udział pp. Daczyński, Milecki, Kreczmar, Pośpiełowski, Świerczewska, Niwiński, Jabłoński, Żeleński, Borkowski i Zarembina. Ładne dekoracje Śliwińskiego.

ZASTĘPCA

MUZYKA

FILHARMONJA. —Dziesiąty koncert symfoniczny poświęcono twórczości Piotra Perkowskiego. Jeden to z najmłodszych naszych twórców muzycznych. Uczeń Statkowskiego, a potem w Paryżu Roussela.

Jest już takim zwyczajem, że się przy nazwisku młodego wymienia szkoły, z których wyszedł. Czy w tym wypadku jest on ich odbiciem? — Mówiono kiedyś o Perkowskim, że ciąży w kierunku „nowej rzeczowości". To „kiedyś" nie stanowi kilku nawet, a parę lat. „Nowa rzeczowość" jest jeszcze jednym terminem, zapożyczonym z zakresu sztuk plastycznych, jakiemi, od mianowania Debussy'ego impresjonistą, poczęto nazywać przejawy poszukiwań muzycznych. Może ówczesne zaliczenie Perkowskiego do pewnej określonej grupy było słuszne — dzisiaj trudnoby to było uczynić; młody ten kompozytor, o inteligencji chłonnej, podatnej na różne wpływy, przy swej pracy i temperamencie posiada już wcale pokaźny dorobek, któremu trudno przylepić jakąś etykietę...

Znajomość instrumentacji niemała. Jest to zrozumiałe: młody, rzutki kompozytor sięga tam, gdzie się spodziewa znaleźć jaknajwiększe bogactwo środków. Zrozumiałe, ale i niebezpieczne. Ciągle jeszcze trwa pogląd, że muzyka nowa najpełniejszy swój wyraz znaleźć może jedynie w muzyce symfonicznej, która daje najwięcej możliwości w osiąganiu coraz to nowszych efektów słuchowych, coraz to innej, nowszej formy. Pogląd ten jednak zdaje się już być mniej upartym w swojem twierdzeniu.

To przejęcie się zagadnieniami orkiestralnemi odbiło się na wykonanem w piątek oratorjum, dużej machinie w siedmiu częściach; nad partją wokalną (chór mieszany i sopran *solo*) nawet zaciążyło.

Tekst oratorjum jak i baletu „Swantewit" nieznośnie banalny.

Po raz pierwszy odegrano koncert skrzypcowy, napisany w roku bieżącym. Zbudowany z trzech części, z których środkowa nawiązuje do charakteru muzyki klasycznej. Odegrała go pani Colette Frantz, skrzypaczka o ładnym tonie i dużej technice.

Na zakończenie: bezwątpienia cieszącym objawem jest to, że urzędnicy pocztowi mają chór, pochwalić już trzeba odwagę podejmowania się zadań trudnych, ale czy koniecznie muszą śpiewać w Filharmonji? —

*

Sto osiemnastą audycję Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki rozpoczęły sonaty Mozarta c i *f*, wykonane przez orkiestrę kameralną p. Zbigniewa Dymmka. Zespół o dużych wartościach, które szczególnie uwydatniły się w koncercie klawesynowym *es*, Jana Chrystjana Bacha.

W interpretacji muzyki klasycznej niebezpieczeństwo tkwi już w samem określeniu „klasycyzm", które nieraz poprostu suggeruje wykonawcę, każąc mu grać zbyt poprawnie, sztywno, z pewnym nawet patosem, a przecież — czy muzyka, dlatego tylko, że jest oparta na solidnej szkole, miałaby być przejawem jedynie umiejętności? Albo druga końcowość: wkładanie nad miarę uczucia, niezrozumienie zupełne charakteru stosowanie manjery, którą wybaczyć jeszcze można muzyce romantycznej. Piszę o tem, ażeby tembardziej podkreślić odegranie koncertu Bacha, które nazwać można poprostu o d t w o r z e n i e m. Grze pani Wysockiej — Ochlewskiej należy się szczezre i należne b r a w o.

Przytem sam Bach. Jan Chrystjan. O ciekawie krzyżujących się wpływach, który powinien zwrócić na siebie jeszcze baczniejszą uwagę, tak jak ostatnio jego mistrz, Sarlatti.

Połączenie pierwszych i drugich skrzypiec, basów i organów z klawesynem, włączenie znowuż w pieśni Marcina Mielczewskiego fagotu, to przykłady mówiące, w jaki sposób przez dobór instrumentów wydobyć można pożądany wyraz. Jest to sztuka komponowania zespołu. Sztuka odnajdywania najprostszego środka wypowiadania. Mimowoli na myśl przychodzi cały ich ogrom w orkiestrze symfonicznej. Jest to jedna z refleksyj.

Albo pieśni francuskie z XV-go wieku, odśpiewane przez panią Korwin - Szymanowską. Szczególnie Guillaume'a Dufay i Raynolda Lieberta, zastanawiające głębią i siłą swej ekspresji.

Audycje Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki zasługują na szczególną uwagę ze względu na swoją treść, poziom, atmosferę i pracę. Pracę o dużej donosiości, którą nnleży szeroko omówić.

W. NARUSZ

OFENSYWA

POMNIK NIEZNANEGO ŚLĄZAKA

„ODSŁONIĘTO" niedawno w Warszawie pomnik Peowiaków.

Ściśle i prawdę mówiąc powinni byli przeciw odsłonięciu takiego pomnika zaprotestować najpierw Peowiacy, a potem równocześnie wszystkie korporacje i assocjacje artystyczne w stolicy z gronem profesorów Szkoły Sztuk Pięknych włącznie, z zarządem „Zachęty", „Ipsu", „Związkiem Plastyków" i t. p., tym razem solidarnie wszyscy.

Peowiacy powinni byli zaprotestować z tego powodu, że świetna rzeźba prof. E. Wittiga nic a nic z P.O.W. nie ma wspólnego. Umierający Rycerz czy też umierający Gladjator jest fragmentem, obciętą czy wyciętą trzecią częścią ze skomponowanej przez artystę lat temu siedemnaście wspaniałej grupy pod tytułem: „Walka". Grupa ta miała być w kilka lat potem nagrobnym pomnikiem cmentarzowym jednego ze zmarłych komendantów P. O. W. Na grupę tę składały się postacie trzech gladjatorów, walczących z sobą, organicznie w kompozycji, nieco Laookonowskiej ściśle złączonych.

Wtedy jednak zdecydowano, że jak na nagrobek jednego tylko komendanta, grupa Wittiga jest za monumentalną. Niechżeż tedy będzie z tego pomnik całej P.O.W. i jako taki niech stanie w Parku Traugutta na tle drzew i zieleni.

Gdyby ten projekt był się stał, byłaby stolica zyskała może świetne dzieło sztuki, może godne bądź co bądź wielkich, często bohaterskich wysiłków Peowiack ch. Na tle Parku Traugutta w związku z sąsiedztwem Cytadeli, grupa trzech Rycerzy na wysokim cokole umieszczona tłumaczyłaby się jasno i zrozumiale i mogłaby sprawiać imponujące wrażenie.

Co teraz robi z tego rządząca dziś Elita?

Oto, jak zawsze, jak we wszystkiem, czego się tknie w dziedzinach sobie obcych: tandetę, partactwo, fuszerkę i barbarzyństwo.

W repertuarze *circenses* na sezon 1932/3 musiał być jakiś obchód i dla P. O. W. Jest gotowy odlew jednej trzeciej części z zamierzonej grupy „Walka". Dalejże kusić Wittiga: Niech odstąpi w tem stadjum niedokończonem. Z fragmentu zrobi się pomnik. Będzie odsłonięcie. Ktoś palnie oracje. Orkiestry zagrają. Peowiacy malkontentujący będą spacyfikowani. Gdzie zaś postawić, wszystko jedno! Gdzie się każe. Rozkaz.

I stanął „pomnik" na bocznej grzędzie przed Zachętą. Z patetycznej, dramatycznej grupy został przewrócony Nudysta, o wzdętej muskulaturze, z mieczem w ręce. W której? W urzędowem, karmnikowem, subwencyjnem pisemku twierdzi wyraźnie specjalsta p. Antoni Wieczorkiewicz (18 list.) że w prawej!

„Na niezbyt wysokiej, zupełnie prostej podstawie wsparty na prawym łokciu z odgiętą w tył głową, z nogami podciągniętemi skurczem bólu, leży trzymając rękojeść miecza w prawej dłoni — nagi młodzieniec".

Tak jest w „Pionie". W rzeczywistości zaś: w lewej. Peowiak sanacyjny trzyma miecz w lewej ręce. Może ten umierający siłacz z mieczem w lewicy symbolizuje pogromioną lewicę?... W Nieznanym Nudyście, (na paczkach) rozłożonym, ten mieczyk w lewicy jest *horrendum*, jest *curiosum*, jest skandalem. I cały ten „pomnik" na gwałt zaimprowizowany i wywleczony jest skandalem. I skandalem jest brak jakiegokolwiek protestu i opozycji ze strony tych, zdeprawowanych serwilizmem, zastraszonych, wiecznie zaś tchórzliwych, pokornych artystów plastyków, łaszących się każdemu przygodnemu ministerkowi, byle tylko coś kapło z kabzy i z kazny i byle nie narazić sobie aparatczyków, dysponujących forsą, stypendjami, obstalunkami.

I stało się, że wobec takiego pomnika na grządce nawet Lubelskiego: Pomnik Saperów na ulicy Topolowej i Nowowiejskiej prezentuje się poważniej, bardziej z europejska...

Taką krzywdą (wypłacając swoje nędzne obole) wyrządziła znów mistrzowi, dosłownie mistrzowi (Ewal) Wittigowi Elita z Sanatorjum, drugą już z rzędu po tamtej z Placu Mokotowskiego.

No i wogóle to pstrzenie stolicy temi pomnikami zaczyna być czemś koszmarnem.

Kiedy za Wilhelma cesarski Berlin też uszlachcano nasadzaniem takich pomników *en masse*, sfery artystyczne z dużą odwagą cywilną protestowały i wyszydzały psychozę. Nasi plastycy jedzą z ręki, stoją na dwóch łapkach na baczność i nie zaryzykowali jednego słowa protestu. Wobec tego Elita szkaradzi stolicę swojemi „widzimisiami" z marmuru i ze spiżu, bez opamiętania i bez pardonu.

To też z pewną nieśmiałością i zakłopotaniem występuje się niniejszem z projektem jednego jeszcze pomnika w Warszawie. Ten atoli musi stanąć i powinien i to bez dłuższej zwłoki, bez odkładania. Zdaje się jednak, że gdy sfery miarodajne (lud wymawia: sfory miarodojne) dowiedzą się o kogo chodzi, zgodzą się pośpiesznie a niejeden premjer, prezes, prezydent projekt ten coprędzej poprze.

Tak. Tak jest istotnie. Chodzi o księdza Szafranka, jak się to łatwo można było domyśleć.

Istotnie na naszym Górnym Śląsku jest obecnie całkiem tragicznie. Po drugiej stronie popowracali do pracy i sytuacja jednak się poprawiła U nas na G. Śląsku sto kilkadziesiąt tysięcy bezrobotnych, z rodzinami pół miljona, częściowo bezrobotnych, bo pracujących po 2, 3 dni drugie pół miljona. A jakże to chcieli ci Górnoślązacy połączyć się i zjednoczyć z katolicką Polską?! Co im to nie naobiecywali po tem zjednoczeniu księża, farorze, proboszczyki, ojcowie zakonniki!... I od jak dawna!

O jednym takim księdzu i pośle mówił żelazny kanclerz, książę Bismarck jeszcze w r. 1886 w sejmie pruskim:

„Jestem zdumiony, widząc, do jakiego stopnia żywioł polski rozwinął się na Górnym Śląsku, gdyż za mojej młodości nie wiedziano nic o podobnych tendencjach w tej prowincji.

Pierwsze zjawisko tego rodzaju, o którem pamiętam, pochodziło od pewnego księdza. Było to w izbie posłów. Ja miałem miejsce tutaj (mówca wskazuje na prawicę), gdy pewien ksiądz, niejaki Szafranek, siedział po tej stronie (mówca wskazuje na lewicę), albo, lepiej powiedziawszy, stał po tej stronie. Oto bowiem, jak się rzecz miała: Przyrzekł swoim zwierzchnikom, że nigdy już nie zasiądzie na lewicy, jednakże nie przyrzekł, że nie będzie tam stał i że nie będzie głosował z tą częścią izby. To też posiedzenie mogło sobie trwać nawet 6 godzin, a on przecież stał ciągle jak posąg, składając dowód siły muskularnej, którą musiałem podziwiać mimowoli. To była pierwsza nota polska w kwestji Górnego Śląska. Przy sposobności przypomnę, bo są jeszcze może w izbie posłowie, którzy już wówczas tu zasiadali razem ze mną, że ów poseł przy każdej sposobności mówił po polsku, i że zwykł był cytować przysłowie polskie, które mniej więcej wyrażało taką myśl. Tak samo, jak jest niemożliwa taka, a taka rzecz—tu było porównanie jakieś, wzięte z życia zwierzęcego — tak samo Polacy i Niemcy nigdy nie będą przyjaciółmi".

Oto więc i gotowy posąg! Oto i prawdziwy bohater narodowy! Oto i bohater nieznany! Jak jest „Żołnierz Nieznany", tak może być i bohater nieznany. Nie na wszystkich politykujących księży posągi tak by się namawiało. Zwłaszcza nie na takich, co teraz idą na rękę wewnętrznym wrogom religji, rasy, narodu, ludu.

Ksiądz Szafranek to co innego. Był z ludu, z najprostszego ludu. Symbolizuje hart i siłę tej dzielnicy, którą życie nasze gospodarcze stoi, która jest perłą w koronie, której zawdzięczamy wszystko, z racją dostępu do morza włącznie, tą dzielnicę, w której dzisiaj, po kilkunastu latach zaledwie... sroży się najpotworniejsza nędza, bieda i głód.

Stawia się teraz tyle tych pomników peowiakom, saperom, może nawet i „*sapere ausis*" (cywilom). Mniej więcej co dwa tygodnie odsłania się gdzieś jeden: tam postać z mieczem, tam z karabinem, tam ze szablą, ówdzie nawet z armatą.

Czy dla równowagi, tak na 100 pomników „militarnych" (jakby powiedzieli pacyfiści) nie godziłoby się postawić raz pomnik nieznanego syna ludu, a przytem księdza, a przytem bohaterskiego księdza, co za życia, jak to mówił Bismarck, „stał jak posąg".

Pomyślcie nad tem Polaki Sanacyjne tylko trochę dłużej! Można ręczyć, że się zgodzicie i przyznacie rację.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Pan Radziwiłł dał się użyć do roli bardzo niewdzięcznej. Kazano mu zakpić z Komisji spraw zagranicznych i zrobił to, nie bacząc, że zakpił przedewszystkiem z siebie, bo tej Komisji jest członkiem, a nawet reprezentacyjnię odpowiedzialnym.

Niewolnicy w prasie sanacyjnej głupkowato się ucieszyli:

— Książę pan oduczył nieprzyzwoitych panów posłów niewczesnej ciekawości politycznej...

Istotnie, co za niewłaściwość: zachciało się parlamentowi ni stąd ni zowąd dopytywać, co będzie z Polską! A co komu do tego!

*

Jedno z żydowskich pism literackich w Warszawie wydało olbrzymi numer „gwiazdkowy". Na „rybce", z tego powodu urządzonej, redaktor zapytał chudego literata goja:

— Czy u katolików jest też gwiazdka?

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM